

<http://rcin.org.uk>

<http://rcin.org.pl>

PRACE
DRAMATYCZNE

J. S. JASINSKIEGO.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.





Akt I. Scena IX.

w Lit. F. Schuster w Warszawie.

J.P. Kudlicz / w roli Lorda Fleetwell w Dramie. *Muzyka*
zaslonisz te oczy, które w ostatniem tchnieniu życia
jeszcze syna szukać będą

Tom V Proe. Drama J.S. Jasieńskiego

Egz. archiwalny IBL

PRACE

DRAMATYCZNE

TLUMACZONE I ORYGINALNE

J. S. JASIŃSKIEGO

A. D. T. W.

Tom X.

WARSZAWA

1839.
INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63 / 26-52-81 w. 42
<https://rcin.org.pl>

SPIS SZTUK

W TOMIE DZIESIATYM ZAWARTYCH.

1. *Murzynka*, drama w czterech aktach 1.
1. *Karolina*, czyli *źle dobrane małżeństwo*, drama w czterech aktach 139.
-



MURZYŃKA.

DRAMA W CZTERECH AKTACH

z Niemieckiego tłómaczona

J. W. Zięglera.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

NA WIELKIM TEATRZE

dnia 29 Września 1833 roku.

O S O B Y.

LORD FLEETWELL	JP. <i>Kudlicz.</i>
ALFONS, jego syn	JP. <i>Piasecki.</i>
ELCJA, siostra LORDA	JPi. <i>Żółkowska.</i>
MAJOR, jej brat	JP. <i>Jastrzębski.</i>
AURELJA, jego córka	JPi. <i>Kurpińska.</i>
JONI, murzyka	JPa. <i>Palczewska.</i>
ZANGI, jej brat	JP. <i>Bogusławski.</i>
KEBIR, murzyn	JP. <i>Swiergocki.</i>
Sędzia	JP. <i>Wolski.</i>
Oberżysta	
Śnidzy sądowi	
Robert	
Służący	

(*Rzecz dzieje się w Anglii.*)

MURZYŃKA.

A K T I.

SCENA I.

(Oberża.)

OBERŻYSTA, CHŁOPIEC z Oberży, ZANGI (*nieważnie*
poźniej)

OBERŻYSTA. (*wchodząc*)

Spiesz się, goście przyjechali.

CHŁOPIEC. (*odchodzi*)

ZANGI. (*wchodząc*)

Dzień dobry gospodarzu.

OBERŻYSTA.

Do usług panie kolego...

(4)

Z A N G I.

Kolego...: jakże to być może, ty biały ja czarny? Czy lord Fleetwell jest jeszcze tu?

O B E R Ż Y S T A.

Jest... całe lato tu będzie.

Z A N G I.

Cóż on robi, czy śmieje się, czy płacze?

O B E R Ż Y S T A.

Śmieje? Boże zmiłuj się! Ciągłe smutny po swoim synu.

Z A N G I.

Biedny Lord! wkrótce cieszyć się będzie, śmiać.

O B E R Ż Y S T A.

Śmiać się! Jego syn, jego jedyny syn zeszłego roku utonął przy brzegach Ameryki.

Z A N G I.

Nie utonął, nie, Joni i ja wyratowaliśmy go, na skałach żywili; prawda cierpiełszy dużo zimna i głodu, ale dla Milorda Alfonsa głód był miłym, zimno przyjemnym. Tak, on żyje.

O B E R Ż Y S T A.

Jeżeli to prawda, daruję natychmiast dwańście butelek wina.

Z A N G I

Zobaczę ły radości starego ojca, to daleko droższe jak twoje wino. Lubo murzyn,

nie jestem niewolnikiem, ale przyjacielem Alfonsa, wiem to dobrze. On jest tak dobry... tak dobry...

SCENA II.

CIŻ i ALFONS.

ALFONS. (*za sceną*)

Zangi.

ZANGI. (*chcąc odejść*)

Milordzie.

ALFONS. (*wchodzi*)

Dajesz mi długo czekać na odpowiedź.

Z A N G I.

Mówiłem o was z tym człowiekiem, a kiedy o was mówię, to muszę wiele mówić. (*pro-wadzi go na przód sceny*) Wasz ojciec 'dotąd płacze.

A L F O N S.

Dla tego nie pojedziemy jeszcze do zamku. Panie gospodarza chciałbym na krótki czas mieszkania.

OBERŻYSTA. (*który mu się ciągle przypa-trywał*)

Przebacz Milordzie! Czyby to pan był

w istocie tym utonionym synem Lorda Fleetwell.

A L F O N S.

Tak mój przyjacielu.

O B E R Ż Y S T A.

Ah mój miły Boże! Jak się nasz dobry pan cieszyć będzie, panna Aurelja, jej ojciec... i jak ja się cieszę, że jestem pierwszy...

A L F O N S.

Który jeszcze o tem zamilczy. Proszę wprowadzić tutaj tę damę, która siedzi w powozie.

O B E R Ż Y S T A.

Natychmiast, Milordzie, natychmiast. (*wybiega*)

A L F O N S.

Kochany Zangi, powiedz mi jak przyjaciel, czy twoja siostra będzie upierała się przy swoim przedsięwzięciu?

Z A N G I.

Przykro mi bardzo; ale pewny jestem, że jeżeli twoja narzeczona jest piękną i cnotliwą, Joni nie przyjmie twojej ręki.

A L F O N S.

Ale...

Z A N G I.

Myśli, że nie możesz jej kochać, ponieważ

jesteś wielkim, bogatym i pięknym białym panem. Joni jest także piękną, bardzo piękną, ale czarną pięknością. W Afryce była najpiękniejszą z najpiękniejszych; tutaj brzydką, wszyscy patrzą na nią jak.....

A L F O N S.

Ponieważ tu rzadko widzieć można Afrykankę.

Z A N G I.

Nie, nie bardzo przyjemnie na nią patrzą, a to mię boli, bo Joni jest prawdziwie piękną.

A L F O N S.

Szczęśliwy przypadek zrzucił, że ciebie, brata mojej ulubionej, los oddał w moje ręce.

Z A N G I. (*rzuca się do jego nóg*)

Panie...

A L F O N S.

Coż to znaczy? Wstań!..

Z A N G I.

Rozkazuj, rozrządzaj całym moim życiem.

A L F O N S.

Wstań! Żądam tylko twojego przywiązania, tem mi go dowiedziesz, gdy użyjesz całej twojej wymowy i głosu natury, aby przeświadczyć Joni, że ona jest jedynym moim szczęściem. Czy uczynisz to?

Z A N G I.

Do brze Milordzie!

A L F O N S.

Powiedz jej...

SCENA III.

C I Ź I O B E R Ź Y S T A.

O B E R Ź Y S T A.

Milordzie, nie ma żadnej damy w powozie, tylko murzynka. Czy mam?...

Z A N G I. (*do Alfonsa*)

Widzicie, Joni słusznie mówi. Biali, nie chcą czarnych kobiet.

A L F O N S.

Zangi, poproś jej.

Z A N G I. (*odchodzi*)

A L F O N S.

Jakże się ma panna Aurelja? Czy wesoła?

O B E R Ź Y S T A.

Od wiadomości o śmierci twojej Milordzie, jeszcze jej nie widziałem wesołej.

A L F O N S.

Czy tak? A major, mój stryj?

O B E R Ź Y S T A.

Opowiada wszystkim twoją historję.

A L F O N S.

Nie mów nikomu o mojem przybyciu i miej staranie o moich ludziach.

[SCENA IV.

JONI, ALFONS.

JONI.

Czy milord nie jedzie zaraz do zamku?

ALFONS.

Joni, cóż to znaczy? nazywam się Alfons.

JONI.

Jestem w twojej ojczyźnie, gdzie, jakś mię nauczył, i sama widzę, uważają na znaczenie i tytuły.

ALFONS.

Ale ja nie zmienię się dla ciebie, ty zostaniesz moją kłbą Joni, a ja twoim Alfonssem.

JONI.

Czy to-wypada? Twój ojciec panie, twoja narzeczona.....

ALFONS.

Joni, czy mi chcesz przykrość sprawić?

JONI.

Nie, ale to: ty, oznacza w Europie poufalość którąby świat cały i twoja Aurelja za złe uważali...

ALFONS.

Mniejsza! chcę żebyś mię zawsze tylko Alfonssem nazywała.

J O N I.

Jestem posłuszną, i pytam, czy nie pójdziesz do twojego ojca?

A L F O N S.

Pójdę, ale ty pierwsza musisz go uwiadomić z całą ostrożnością o mojem życiu. Twemu sercu polecam tego starca. Niech twój przyjemny głos wciska się radośnie w jego duszę...

J O N I.

Przeczuwam twój tajemny zamiysł, chcesz abym mu się stała przyjemną i drogą, bo ludzie nawet szpetnych nunięj szpetne mi znajdują, gdy im dobrą objawią nowinę. Ale Alfonsie...

A L F O N S.

Żadnego ale, Joni! nie uściskam pierwój mego ojca, dopóki mi stanowczo nie odpowiesz! Czy kochasz mię?

J O N I.

Kocham, przysięgam na Boga, któregoś mię znać i czeić nauczył, kocham cię.

A L F O N S.

— Czy kochasz mię tak jak żona męża swego go kocha?

JONI. *(po krótkim milczeniu)*

Tak.

A L F O N S.

Będziesz moją żoną?

J O N I.

Nie.

A L F O N S.

I kochasz mię?

J O N I.

Dla tego też że cię kocham; więcej kocham aniżeli siebie samą, pozwól mi zostać na zawsze twoją Joni; kochać cię z całym uczuciem czystego serca, nie będąc twoją żoną. Ah, wyznaję ci, moje najskrytsze życzenia łączą się z twojemi, ale rozsądek i cnota sprzeciwiają się temu; usłucham ich głosu. Prawdziwa miłość, posłuszna tylko własnym życzeniom; szczęście ulubionego przedmiotu jest najpierwszem jej staraniem.

A L F O N S.

Kochasz mię, wiem o tém. Nieraz narażałaś twoje życie dla mnie. Nikt z ludzi nie jest tak kochanym jak ja od mojej Joni.

J O N I.

Poprzestań więc na tém, niech twoja w-

obrażnia nie przedstawia widoków które się zjścić nie mogą.

A L F O N S.

Nie to mię przywiązuje do ciebie; ale cnota twoja, która nawet w niewolnicy, przez lat świętą była dla mnie.

JONI. (*rzuca się do jego nóg*)

Mój szacunek, łzy moje niechaj ci powiedzą co uczuвам przy tém wspomnieniu. Natura wzniosła wieczną zaporę pomiędzy nami, którą oboje z żalem tylko przełamujemy. Joni płacze u nóg twoich, że kolor jęj lica odmienny od twojego. Ah nieraz ona już płakała! kiedy słońce z całym blaskiem i świetnością odbijało się na przestrzeni morza, Joni często odrętwiona stała na pokładzie okrętowym i żaliła się na to wielkie światło, na matkę dnia, że na obliczu Joni barwę nocy wypiętnowała! Łagodny rumieniec wstydu i miłości, nie ukazuje swojej czarodziejskiej zmiany na tych licach. Jak zobaczysz piękne ślady cierpienia, kiedyś dotknięty chorobą? nigdy nie widziałeś bladego przestrachu, ani nie-

pokoju o twoje życie, chociaż serce było niemi zajęte. Alfonsie, spojrzij obojętném okiem na tę twarz, na tę czarność, na te rysy; a pewno na pierwsze spojrzenie przyznasz: że najszpetniejsza z białych przeciw mnie jeszcze jest Aniołem. Szyderstwo świata wkrótce przytłumi twoją rozognioną wyobraźnię, ogarną cię żal i odraza. Joni widziałaby twoje nieszczęście, a ten widok przywiódłby ją do najokropniejszej rozpacz.

A L F O N S.

Nie znasz mojej miłości. Żywość wyobraźni i zapał nie mają w niej żadnego udziału.

JONI. (*wzdycha*)

Wierzę temu. Kiedy noc rozciągnie czarną pomrokę nad swoją córką Joni, nie będziesz widział jej czarnego lica...

A L F O N S.

Nie widzę go nawet w jasnym dniu, bo cię Kocham i musisz być moją. (*z żywością chwytając ją za rękę*) Na tę bliźnę przysięgam, musisz być moją! przysięgam...

J O N I.

Nie kończ!... Nic nie może rozwiązać przyrzeczenia danego Aurelji.

A L F O N S.

Alboż jej przyrzekłem moją rękę?

J O N I.

Ale serce twoje oddałeś. Musi być godną ciebie, kiedyś ją kochał. Zobaczysz ją znowu, na jej widok nowem życiem zapłonie to uczucie, a głos świata i serce twojego ojca związek ten pobłogosławią.

A L F O N S.

A Joni?

J O N I.

Widząc ciebie szczęśliwym, będzie szczęśliwą.

A L F O N S.

Czy możesz to uczynić?

J O N I.

Dla ciebie wszystko. Jeżeli Aurelja pozwoli mi zostać przy sobie, czegoż brakować będzie do mojego uszczęśliwienia?

A L F O N S.

Tego co do ciebie należy, na co tysiąc razy zasłużyłaś. Któż do mojego serca ma świętsze prawa nad ciebie? kto przed sześciami laty,

przez siedm dni był bez pożywienia prawie, kiedyśmy zbłąkali, odlączeni od towarzyszy, w puszczech Arabji znaleźli schronienie?

J O N I.

Cierpieć głód było po winnością niewolnicy.

A L F O N S.

Miłość twoja dla mnie silniejszą była nad głód, to odwieczne prawo natury. Kiedyś zemdlona upadła na rozpalonych piaskach, w pół umarłemi oczyma ostatnie zasysiała mi pożegnanie, nie wiedziałem jeszcze, że aby moje dni ocalić, Joni swoje ukracała. Wtedy dopiero kiedyś mi ostatni podawała zasiłek dowiedziałem się, żeś dla mnie omal śmierci nie stała się łupem. To co długo miałem za powinność niewolnicy, ukazało mi się jako najtkliwsza miłość.

J O N I.

Te dwa uczucia często zbliżają się do siebie...

A L F O N S.

Wtenczas przysiągłem w milczeniu opatrności, że wynagrodzę to uczucie.

J O N I.

Czyliż nie dosyć jestem wynagrodzoną? Nie

możesz sobie wyobrazić jak czarna Joni jest szczęśliwą.

A L F O N S.

Mając tak piękną duszę....

J O N I.

Która ci dzięki składa za nauki, ukształcenie. Czyliż mi nie powróciłeś brata?

A L F O N S.

On przez ! wierne usług dawno mi izwrócił swój okup. Nie Joni, nie nie zmieni mojego postanowienia. Pogardzam równie uprzedzeniem jak niebezpieczeństw. Będiesz moją żoną, lub nie zawrę związków małżeńskich.

J O N I. (*z zapalem*)

Nigdy twoją nie będę!

SCENA V.

C I Ż i Z A N G I.

Z A N G I.

Wszystko gotowe. Dowiedziałem się, że ojciec Milorda o dziesiątej godzinie przechadza się w zwierzyńcu; a więc...

A L F O N S.

Joni, wróć natychmiast. (*odchodzi*)

J O N I.

Ah bracie!

(17)

Z A N G I.

Cóż to, tyś smutna?

J O N I.

Nie chce zmienić swojego zamysłu..

Z A N G I.

Kochasz Alfonsa, dla czegoż nie chcesz zostać jego żoną?

J O N I.

Mogłabym ci dać nie jedną ale tysiąc przyczyn. Tu jest jego narzeczoną.

Z A N G I.

Czy Europejczyk musi swoją narzeczoną zaślubić; czy nie można się od tego uwolnić?

J O N I.

Nie łatwo, nie zawsze.

Z A N G I.

Ale jednak?..

J O N I.

Zdarza się czasem...

Z A N G I.

Jeżeli narzeczoną się nie podoba. Żal mi jej, ale Alfons słusznie czyni.

J O N I.

Ona jest piękną.

Z A N G I.

Ty także, dla mnie, dla Alfonsa jesteś piękną.

2*

J O N I.

Jego ręka należy do Aurelji, mam jej ten skarb wydzierać?

Z A N G I.

Jakto wydzierać, kiedy on ci sam oddaje.

J O N I.

Nie bracie, nigdy! Dzień i noc prosłam Nieba, aby mi dodało mocy w mojem przedsięwzięciu. Wysłuchało prośb moich; a jeżeli utracę tę siłę, którą stawiam przeciw moim własnym życzeniom, pozostanie mi tylko ucieczka z tobą.

Z A N G I.

Joni, przekładasz cierpienie nad szczęście?

J O N I.

Znasz powody.

Z A N G I.

Niesłuszne. Jeżeli my czarni w Afryce z białymi się żeniemy, dla czegożby tu biały nie mógł czarnej pojąć za żonę?

ALFONS. (*za sceną*)

Zangi.

JONI. (*troskliwie*)

Spiesz, Alfons wola.

ZANGI. (*odchodzi*)

J O N I.

Może będzie potrzebować czego i nie znajdzie. Ah czemuż Europejskie zwyczaje nie pozwalają mi być ciągle przy nim i myśleć o jego potrzebach. (*ślucha*) Cicho. Może za nadto byłam troskliwą.

SCENA VI.

CIŻ, MAJOR.

MAJOR.

Co widzę, murzynka?

J O N I.

Nieznajomy! (*uprzejmie*) Czy pan kogo szuka?

MAJOR. (*zmieszany*)

Przebacz mi, pani; czyli też.. nie wiem jak mam panią nazywać?

J O N I.

W Afryce nazywam się Joni, tu zowią mię Betty.

MAJOR.

A więc Miss Betty.

J O N I.

Może pan szukasz kogo?

MAJOR.

Słyszałem, że jacyś obcy ludzie przyjechali. Żyjąc na wsiamotnie i widząc ciągle też same twarze, pragniemy szczerze inne zobaczyć.

J O N I.

Jeżeli mają tylko być inne a nie lepsze, już pan zaspokoiliś chęć swoją.

M A J O R.

Miss Betty lubo jesteś czarną, a jednak bardzo uprzejmą; i jak się zdaje wesolą.

J O N I.

Jestem nią często. Ale możesz upraszać o godność pana.

M A J O R.

Major Nooring.

J O N I. (*n. s.*)

Ojciec Aurelji.

M A J O R.

W zamku wszystko tak smutne. Syn właściciela tych dóbr, przeszłego roku popłynął okrętem Fortuna, który rozbił się przy brzegach Ameryki. Zapewnie Miss o tém słyszała? Ile tylko razy pomyślę o tém, łzy wydobywają się z moich oczu.

J O N I.

Godzien jest tej nagrody.

MAJOR. (*prędko*)

Czy go znałaś Miss?

J O N I.

Znałam.

MAJOR. (*jeszcze żywiój*)

Gdzie, droga Miss, gdzie?

J O N I.

On mi powiedział, że Aurelja, twoja córka panie jest jego narzeczoną.

M A J O R.

Biędne dziecię, ciągle płacze, on był pierwszym przedmiotem jej miłości. Alfons na krótki czas przed odjazdem do Afryki, pojednał mię ze swoim ojcem. Lord Fleetwell pokochał moją córkę, bo nie można jej nie kochać; i zeszłego roku przyrzekł połączyć ją z synem swoim, napisał do niego list.. śmierć Alfonsa była nań odpowiedzią. Biędne dziecię, Aurelja stałaby się dla niego źródłem prawdziwego szczęścia.

JONI. (*z żywością*)

Czy tak?

M A J O R.

Niezawodnie, dobra, piękna jak Anioł.

JONI. (*wzruszona*)

Piękna?...

M A J O R.

I dusza i ciało.. Ale cóż to Miss zdajesz się wzruszoną, jakiż powód?

J O N I.

Los tej biednej istoty która kochała młodego lorda.. czuję bolesne jej położenie; ale jej łzy wkrótce się osuszą. (n. s.) a moje płynąć zaczną.

M A J O R.

Cóż to za tajemnica?

J O N I. (z westchnieniem)

Panie Majorze, z rozbitego okrętu trzy osoby ocalały.

M A J O R.

Z okrętu Fortuna?

J O N I.

Tak jest.

M A J O R.

Ani jedna nawet! Admiralicja ma pewną wiadomość.

J O N I.

A ja mam pewniejszą jeszcze jak Admiralicja; byłam bowiem na tymże samym okręcie i widziałam lorda Alfonsa jak po utrudzającej pracy, do skał dopłynął. Zobacysz go znowu?.

M A J O R.

Co? mego Honorjusza?

(23)

J O N I.

Miej nadzieję i czekaj tu na mnie. (*odchodzi*)

M A J O R.

Mieć nadzieję. Ona płynęła na tymże okrę-
cie, widziała go wdzierającego się na skały
któż ona jest? Jój odzież prosta ale kosztow-
na. Pamiętam, pisał o jakiejś murzynce?
miałażby to być?..

SCENA VII.

JONI, MAJOR. później ALFONS.

M A J O R.

Miss mówiłaś..

J O N I.

Cierpliwości. Oto twój Honorjusz.

MAJOR. (*biegnie naprzeciw*)

Alfonsie! Alfonsie!

A L F O N S.

Wuju.

M A J O R.

Tak, to on! Mój Honorjusz! ob ty żyjesz!
widzę cię znowu.

A L F O N S.

Drogi wuju!

MAJOR.

Teraz biegnę do twojego ojca, do Aurelji!

ALFONS.

Nie, kochany wuju; z ust Joni muszą się dowiedzieć o mojem życiu.

MAJOR. (*półglosem*)

Z ust murzynki; obcej istoty. Nie, ta radość niech pozostanie wrodzinie, blizki grobu, nie wiele chwil radosnych policzę.

ALFONS.

Mój ojciec już w wieku, a starcy są jak dzieci, trzeba dla nich głosu łagodnego, tkliwego.

MAJOR.

A więc dobrze! Niech Aurelja, twoja przyszła, doniesie mu o twojem życiu; to do niej należy, i nie odstąpię tego.

ALFONS.

Nawet i wtenczas gdy ci powiem: że moje ocalenie winienem Joni.

MAJOR.

Co słyszysz? ona ci życie ocaliła? a więc należy do naszej rodziny! teraz ma większe od nas prawa. Pójdź w moje objęcia.....

JONI. (*klaniając się.*)

Panie Majorze!

M A J O R.

Nie, nie tak, do serca mego; (*ściska ją*)
pocałujże mię moje kochane dziecię.

JONI (*uśmiecha się i całuje go*)

M A J O R.

Ty ocaliłaś życie mojemu Honorjuszowi,
ty wracasz ulubionego mójjej Aurelji. Co to
będzie za radość! jak cię wszyscy będą ko-
chać! Droga Joni, już nas nigdy nie opu-
ścisz!

A L F O N S.

Mój wuju, idźmy do ojca, już czas...

M A J O R.

Prawda. Stary gaduła zapominał w unie-
sieniach radości, że on o niczem nie wie i
cierpi. Trzeba tu rozsądnie postąpić.

A L F O N S.

Zostaw to staraniu Joni, jej czucie i serce
ją poprowadzą.

J O N I.

Jeżeli chcecie, idźmy.

M A J O R.

Pójdź moja piękna czarna, będę się py-
sznił idąc z tobą przez wieś, a jeżeli chłopcy
będą biedz około ciebie, to ich pozabijam.



ALFONS. (*urazony*)

Dla czegożby biedz mieli?

M A J O R.

Ponieważ Joni..... ponieważ i przed murzy-
nem twojego ojca biegną do koła. Kochana
Joni, Kebir jest uczciwy człowiek, twój ro-
dak, dobry, (*uśmiecha się*) i kto wie.....

A L F O N S.

Idźmy do ojca. (*odchodzą*)

SCENA VIII.

(*Okolica.*)

L O R D, K E B I R.

• K E B I R.

Milordzie, dla czego zawsze wte miejsca?..
ten widok wasz smutek ożywia.

L O R D.

Prawda! ale nie mogę spocząć gdzieindziej,
tu serce mię pociąga, tu i ja kiedyś spoczne
na wieki... (*zwracając myśl*) Piękna okolica,
prawda...

K E B I R.

Tak mówią...

L O R D.

Te zielone pola... jak przyjemne... to było
ulubione miejsce mojego Alfonsa.

K E B I R.

Milordzie, czy nie ma już ustronia, któreby
was rozweselić mogło?

L O R D.

Gdzież o nim zapomnieć mogę?

K E B I R.

Tam w górze...

L O R D.

Nie, tam go znowu zobaczę, oby jak naj-
prędzej nadeszła ta chwila!.. (*zmieniając myśl*)
Kebirze, czy kontent jesteś ze mnie?

K E B I R.

Któżby przy was Milordzie mógł być nie
kontent? Jesteście tak dobrym, tak łaskawie
obchodzicie się ze mną...

L O R D.

Łaskawie! Starzy są jak dzieci, chcą być
kochani; któż mię kocha?

K E B I R.

Miss Aurelja.

L O R D.

Tak, ona jedna; ale to przecież nie mój
syn. (*chwila milczenia*) Spójrzij na to pasmo
błękitnych gór, czy podobają ci się?

K E B I R.

Góry mojej rodzinnej ziemi są daleko pię-
kniejsze.

L O R D.

Jesteś nieczułym.

K E B I R,

Jakież uczucie może zajmować podobnego
mnie człowieka?

L O R D.

Radość...

K E B I R.

Nie znam jej!

L O R D.

A cierpienia?

K E B I R.

Nieodstępne od moich myśli.

L O R D.

Jako przy mnie?

K E B I R.

Tak jest, widząc wasze udrczenie Milordzie, czuję ile on cierpiał oczekując nadaremnie mojego powrotu. On co mię tak kochał tkliwie.

L O R D.

Kto?

K E B I R.

Mój ojciec.

L O R D.

Ty masz jeszcze ojca?

K E B I R.

Najlepszego z ludzi; byłem jego ukocha-
nym synem. W bitwie wzięto mnie w nie-
wolę i przedano Europejczykom. Milordzie,
kiedy słyszę wasze westchnienia, zda mi się
słyszec westchnienie mojego ojca, w łzach wa-
szych widzę jego łzy, bo on mnie równie ko-
chał, jak wy Milordzie kochacie waszego sy-
na. Wzdycha i płacze napróžno!

L O R D.

Nie, nie napróžno. (*rzuca mu pugilares*)
Weź te pieniądze, uwalniam cię, spiesz do
twojego ojca! Jeżeli żał przed czasem nie
skrócił dni, osusz łzy jego.

KEBIR. (*rzucając się do nóg*)

Milordzie!

L O R D.

Spiesz, twój ojciec płacze! Oh ja znam te
męczarnie! Jeżeli dziś w wieczór znajdę cię
tu jeszcze, będziesz niewdzięcznym synem.
Idź.

K E B I R.

Milordzie, tam twoja nagroda. Oby ci Bóg
równaż zesłał pociechę! (*wybiega*)

3*

L O R D.

Ten dobry syn... Jeżeli ojciec jego jeszcze żyje, zobaczy go w swoich objęciach i usłyszy ten drogi wyraz: »Ojczy mój!....« Ah, ja go już nigdy nie usłyszę. Nigdy!...

SCENA IX.

LORD, JONI.

JONI. (*wchodzi z wolna, i gra na lutni*)

LORD. (*rozgniewany*)

Odgłos lutni pomimo mojego zakazu! Te smutne tony przenikają aż do głębi serca, i on niegdyś...

JONI. (*śpiewa*)

Porzuć ojczy boleść, troski,
I z cierpieniem zerwij ślub,
Przyjdzie chwila, promień boski....

L O R D.

Chwila śmierci! (*wzruszony*)

JONI. (*śpiewa*)

Wróci, co nie zawarł grób.
Wróci, co nie zawarł grób.

L O R D.

Nie?!: Któż jest ta anielska istota, która czarującymi tony zdołała promyk nadziei wcisnąć jeszcze do zbolełego serca.

JONI. (*występuje z za krzaku*)

L O R D.

Murzynka! Czy to ty śpiewałaś?

J O N I.

Tak Milordzie.

L O R D.

Cóż cię tu sprowadza? czego chcesz w tem miejscu?

J O N I.

Jestem uwolnioną, i szukam przytułku. .

L O R D.

Więc twój pan uwolnił cię?..

J O N I.

Aby mię na wieki uczynić swoją niewolnicą. Nauczyłam się wiele od niego; teraz jestem wesołą...

L O R D.

Ale cóż cię do mnie sprowadza?

J O N I.

Twoje cierpienia Milordzie.

L O R D.

Czy możesz je umniejszyć?

J O N I.

Pewna jestem.

L O R D.

Jakim sposobem?

J O N I.

Czarównemi tony tej lutni, wiem że dźwięk jej jest wam miłym.

L O R D.

Był niegdyś, ale już nie jest.

J O N I.

A więc nie zatrzymasz mię przy sobie Mi-lordzie?

L O R D.

Czy chcesz przy mnie pozostać?

JONI. (z zapalem)

Ob, z całego serca!

L O R D.

Dla czegoż?

J O N I.

Nie dla nagrody, żadnej nie przyjmę. Naj-droższą znajdę, jeżeli się spełni moja nadzie-ja, jeżeli mi się uda śpiewem moim rozerwać tęskne godziny.

L O R D.

Kiedy cię tylko twoja chęć dobra ku mnie pociąga, zostań. Oddam cię opiece mojej cór-ki Aurelji. Jak się nazywasz?

J O N I.

Joni.

L O R D.

Urodziłaś się w Afryce?

J O N I.

Tak jest; piękne moje przeznaczenie, osu-
żyć łzy czci godnego starca.

L O R D.

Wyrażasz się tak tkliwie i z taką szlache-
tnością... musiałaś długo przestawać z Europej-
czykami.

J O N I.

Sześć lat jako niewolnica towarzyszyłam
jednemu z nich w jego podróży.

L O R D.

Jak się nazywał?

J O N I.

Nauczył mię języków, oświecał w różnych
wiadomościach. Jeżeli gram na lutni jemu to
winnam, jemu winnam moje ukształcenie.

L O R D. (*niecierpliwym*)

Jak się nazywał?

J O N I.

Nigdy nie widziałam lepszego, szlachetniej-
szego człowieka. (*po chwili*) Nazywał się Al-
fons.

L O R D. (*wzruszony*)

Alfons nie żyje!

J O N I.

Przeciwnie, żyje, żyje.

L O R D.

Zyje! a jego nazwisko?

J O N I.

Tego nie wiem Milordzie.

L O R D.

Przypomnij sobie! czy nie nazywał się Fleetwell?

JONI. (*zmieszana*)

Nie... tak... nie... pewnie nie!

L O R D.

Joni, idź do zamku, twoja mowa mię udręcza.

J O N I.

Kto wie, może ten Alfons jest twoim synem Milordzie. Piękna postać...

L O R D.

Tak.

J O N I.

Żywe niebieskie oko... włosy ciemne, czoło wysokie.

L O R D. (*drżący*)

Mój syn...

J O N I.

Widziałam go przed dziewięć miesiącami w Surinam. Opowiedział: że okręt na którym płynął, rozbił się.

L O R D.

Jak się nazywał ten okręt?

J O N I.

Zdaje mi się, że... Fortuna.

L O R D.

Wielki Boże! widziałaś go więc w Surinam?

JONI. (*prędko*)

Trudni się handlem.

L O R D.

Handlem? Nie, to nie on. Idź do zamku. On by mię nie zostawił w tak okropnej niepewności.

J O N I.

A mnie się zdaje milordzie, że twój syn żyje, że mój *Alfons*.. nie trać nadziei.

L O R D.

Ty pewność nieszczęścia zmieniłaś w wątpliwość, zanieciłaś promień nadziei w mojej duszy; tego pieniądzy nagrodzić nie można, ale przywiązaniem. Jeżeli go już nie zobaczę, ty swoją czarną dłoń zawrzesz w pół umarłe powieki ojca, zasłonisz te oczy, które, w ostatniem tchnieniu życia, jeszcze syna szukać będą.

J O N I.

Milordzie, jeżeli mię zapewnisz, że tak umiarkowanie zniesiesz radość jak cierpienie; mogłabym ci dać dowód niezaprzeczony, że twój syn przed 9 miesiącami był w Surinam.

L O R D.

Jakiż dowód? Ah, powiedz, śmierć z radości jest słodkim darem.

J O N I.

Uspokój się.]

L O R D.

Ah powiedz, przez litość powiedz!

J O N I.

Miałam przyjaciółkę... która w tejże stronie świata co i ja ujrzała dzień po raz pierwszy.. ona twojemu synowi ocaliła życie.

L O R D.

Pisał mi dawniej o jakiejś murzynce?,

J O N I.

Jej podarował tę lutnię. Ona będzie mi wiecznie drogą, bo z jego rąk pochodzi. Ujrzawszy ją stroskany ojciec pozna syna, i pobłogosławi tę która mu pierwsza przyniosła wiadomość o jego życiu.

L O R D.

Błogosławię cię! anielska istoto, ta lutnia!...

JONI. (*podając*)

Przypatrz się, Milordzie.

L O R D.

Nie ma wątpliwości...

J O N I.

Od niego ją dostałam, on żyje!

(37)

L O R D.

Żyje! mój syn żyje!

J O N I.

Tak, Lord Alfons Fleetwell żyje.

LORD. (*pada na kolana, przyciskając lutnię do piersi*)

Boże! Boże... ty czytasz w mojem sercu...
przyjmij jego najszczerze podzięk.

J O N I.

Milordzie!

LORD. (*przymusza ją klęknąć*)

Chrześcjanica lub nie! Dziękuj Bogu wraz
ze mną!.. W takiej chwili w każdej wierze,
duszę jedna myśl unosi; do wszechwładnego
Pana, tam, w Niebo, korne zanieśmy modły. (*po
chwili wstaje*) Pójdź do mojego serca.]

SCENA X.

ALFONS, MAJOR, ZANGI, i POPRZEDZAJĄCY.

J O N I.

Milordzie!

L O R D.

A więc jest w Surinam?..

Tom X.

4

(38)

J O N I.

Nie, Milordzie, daleko bliżej; on jest tu...

A L F O N S.

U nóg twoich ojcze.

L O R D.

Oh mój synu!...

KONIEC PIERWSZEGO AKTU:

AKT II.

SCENA I.

(Pokój w zamku Lorda.)

AURELJA. *(odrzucą książkę)*

Precz z nią! Nie chcę już czytać żadnych opisów podróży. Każda przywodzi mi na pamięć Alfonsa. Ah ta nieszczęśliwa chęć zwiedzania świata, naraziła tysiące na niebezpieczeństwa i śmierć im przyniosła. *(ogląda miniaturę)* Takim był, a czemże jest teraz, garścią prochu.

SCENA II.

EUCLIA, AURELJA.

EUCLIA.

Znowu zajęta miniaturą! Zobaczysz, że ci ją odbiorę!

AURELJA.

To jedno tylko, ma jeszcze jakąś wartość dla mnie.

EUCLIA.

Czy tak? a więc twoja ciotka?

A U R E L J A.

Milady, moje cierpienie jest cichém, nikogo nie obraża.

Ę U C J A.

Jednakże Miss! Lord jest moim bratem.

A U R E L J A.

Jego łzy często płyną z mojemi.

Ę U C J A.

O tém właśnie chcę mówić. Musisz mieć jakiś zamiysł w akompanjowaniu tym ciągłym łzom.

A U R E L J A.

Zamiysł.

Ę U C J A.

Ty po mnie otrzymasz dziedzictwo, ale nie po lordzie. Jego testament już napisany; i starać się będę, aby go łzy twoje nie zdołały odmienić.

A U R E L J A.

Jak to? więc żal po utracie najmilszego z ludzi, bierzesz za chęć zysku?

Ę U C J A.

Niech będzie jak chce. Błagałam Nieba i namawiałam lorda, aby cię połączył ze swoim synem, w nadziei że mi będziesz wdzięczną. Niepodobalo się Bogu, i Alfons nie żyje! Wiesz więc sama, że w takim wypadku słuszniej

aby siostra nie siostrzenica odziedziczyła po bracie majątek.

A U R E L J A.

Czyliż ja tego pragnę?

Ł U C J A.

Jeżeli nie tego pragniesz: więc płacz sobie sama ile ci tylko czas pozwoli. Ale pamiętaj o tem zawsze, że twój ojciec jest nie rodzonym bratem lorda Fleetwell, i że tyle mu już dałam, iż sama jestem prawie żebraczką.

A U R E L J A.

Mój ojciec umie być wdzięcznym....

Ł U C J A.

Wdzięcznym dla Alfonsa, lecz to co ja dla niego uczyniłam, jest niczem w jego oczach.

A U R E L J A.

Milady!

Ł U C J A.

Nie chcę cię martwić wcale; i jeżeli wspomnisz sobie na to żem bezdzietna, bo nie podobąło się Niebu moje małżeństwo obdarzyć potomstwem, gdy pomyślisz że ty jesteś jedyną moją dziedziczką, że co zbieram to wszystko dla ciebie....

AURELJA.

Milady, nie powątpiewałam nigdy o macierzyńskiej twojej dobroci.

EUCLIA.

Dla tego pozwól mi działać, i bądź spokojną. Idź do zwierzyńca; tam jest Lord, zaśpiewaj mu co wesołego, i odpędzaj żebractwo, które go zawsze otacza... a na przypadek gdyby chciał sięgnąć do swojej zbyt szerokiej kieszeni, tu masz drobne pieniądze, to na jedno dla nich wyjdzie.

AURELJA. (*biorąc*)

Dobrze, Milady.

SCLNA III.

KEBIR i POPRZEDRAJACY.

KEBIR,

Ah milady, | miss. Przychodzę z sercem pełnym radości, uścisnąć wasze nogi i pożegnać was na zawsze. Wspaniałomyślny lord udarował mię wolnością.

EUCLIA.

Co! a 412 gwineów zapłacił za niego.

KEBIR.

Dał mi pieniędzy na drogę, aby wyszukać moiego ojca.

Ł U C J A.

Jeszcze i pieniędzy na drogę? Aureljo, widzisz, znowu go umiał podejść.

K E B I R.

Teraz spieszę do Yarmuth, a z tamąd popłynę do Ameryki.

Ł U C J A.

Wieleż ci lord dał pieniędzy? Gdzie je masz?

K E B I R. (*dobywa pugilares*)

Oto są! jesszczem ich nie liczył.

Ł U C J A. (*bierze go*)

Pokaż no! Może za mało! (*liczy*) sto, dwieście, trzysta czterysta, pięćset funtów szterlingów. Ah dla Boga! Co ten milord myśli? To zapewne skutek nieuwagi; a potem on ma wzrok zepsuty, omylił się bez wątpienia. Kiedy ci dał wolność, to 5 funtów szterlingów będziesz miał dosyć.

K E B I R. (*zdumiały*)

Milady!

Ł U C J A.

Weź Aureljo, zanies napowrót lordowi ten pugilares. Masz pięć funtów. (*rzuca mu je*)

K E B I R.

Ale milady.

Ł U C J A

Z temi pieniędzmi możesz po całym świecie podróżować.

K E B I R.

Ale...

Ł U C J A.

Milcz, a jeżeli za powrotem z kaplicy zastanę cię tutaj, albo mówić będziesz z lordem, to przysięgam, że każę cię wtrącić do więzienia i głodem zamorzyć. *(odchodzi)*

K E B I R.

Czy godzi się tak postępować, jestże to po ludzku! moją prawą własność!....

AURELJA *(wyjmuje pieniądze z pugilaresem)*

Weź, *(daje mu)* ale za pięć minut niech cię w zamku nie będzie; wiesz dobrze jaką ma władzę milady nad lordem.

K E B I R.

Miss, szlachetna, wspaniała miss! miałbym gniew milady ściągnąć na ciebie?

A U R E L J A.

Myśl tylko o sobie, mnie, zostaw mnie samej. Idź, idź...

K E B I R.

O Miss, w Ameryce przy boku ojca, szczęśliwy murzyn codziennie modlić się będzie za ciebie. (*odchodzi*)

A U R E L J A.

Uwiadomię o tém Lorda, bo Milady wróci niezawodnie po pieniądze.

SCENA IV.

ŁUCJA, AURELJA.

Ł U C J A.

Aureljo.

AURELJA. (*n. s.*)

O Bcże!

Ł U C J A.

Dobrze, że cię tu jeszcze znajdują!

A U R E L J A.

Co rozkażesz Milady.

Ł U C J A.

Czy ten czarny szatan, wyłudziiciel pieniędzy, już poszedł?

A U R E L J A.

Murzyn? już.

Ł U D J A.

Daj mi ten pugilares, sama go doręcę mojemu brátu i zaraz przy tém dam mu małą naukę nad rozrzutnością. Gdzież jest.

AURELJA. (*zobawą podaje go*)

Ł U C J A.

Co tobie jest, co znaczy to milczenie?

AURELJA. (*n. s.*)

Obym wiecznie milczyć mogła!

Ł U C J A.

Pięć set funtów w naszych rękach daleko lepsze. (*chowa pugilares*) Uratowaliśmy je szczęśliwie, za co Niebu złożę natychmiast dzięki! (*odchodzi*)

A U R E L J A

Zginęłam, jeżeli odkryje, nigdy mi tego nie przebaczy. Idźmy do lorda, do tego dobrego lorda; on mi da pieniędzy, a potem wyznam ciotce prawdę. (*chce odejść*)

SCENA V.

MAJOR, JONI, AURELJA.

M A J O R.

A to gdzie?

A U R E L J A.

Do lorda.

M A J O R.

On ma kogoś u siebie. Kogoś... który mu opowiedzieć musi... a ja przyprowadzilem ci także kogoś, który ci donieść ma, że nie wszyscy

ludzie już nie żyją. Tak, tak! Moja córko, Miss Joni, nie, Anioł Joni, twoja przyjaciółka, siostra, którą chętnie siostrą nazwiesz, z którą nigdy nie rozłączysz się.

AURELJA. (*zmięszana*)

Miss, Siostro!

JONI. (*z wdziękiem*)

Pani, na ten zaszczyt nigdy nie zdołam zasłużyć.

M A J O R.

Co, nie zasłużysz! Aureljo, przyciśnij ją do twojego serca, godną jest tego.

AURELJA. (*sciska ją*)

Oh z radością!

JONI. (*wzruszona*)

Pani!

M A J O R.

Co, pani, nie chcę tego wcale, siostro, przyjaciółko. Ona cię uwiadomi... dalej moje dziecię.. mów, mów, ja odejdę, bo gotów jestem wypaplać wszystko. (*odchodzi*)

A U R E L J A.

Cóż usłyszę! Boże... Mogęż prosić.: Wi dzę, że to co masz mi powiedzieć, mocno cię wzrusza..

JONI. (*nie spuszczać z niej oka*)

Ledwie oddycham.

AURELJA.

Dla czegoż się tak wpatrujesz we mnie?

JONI. (*przychodząc do siebie z zapomnienia prawie*)

Nie mogę się nasycić twoim widokiem, tyle wdzięków...

AUREEJA.

Pochlebiasz mi.

JONI.

Bynajmniej, widziałam wiele białych kobiet, ale żadnej tak doskonale pięknej, żadnej z takim czarującym spojrzeniem i zachwycającym obliczem. (*z przykrością*) Wistocie jesteś bardzo piękną.

AURELJA.

Proszę cię...

JONI.

Kiedy te lica smutkiem zbladłe, kwitnący rumieniec ożywi i luby uśmiech rozweseli...

AURELJA.

Czy dostrzegasz cierpienie na mojej twarzy?...

JONI.

Nieszczęśliwy, rysy smutku natychmiast dostrzega. Pozwól mi zapytać cię pani jaka przyczyna tej bladości?

A U R E L J A.

Przed dziewięcią miesiącami utraciłam kuzyna, towarzysza moich lat dziecinnych.

J O N I.

I jeszcze łzy błyszczą w twoich oczach.

A U R E L J A.

Kochałam go, Kocham go dotąd.

JONI. (*drżącym głosem*)

Byłażes wzajemnie kochaną?

A U R E L J A.

Raz tylko przed odjazdem wyznał mi swoje uczucia; ale kocha mię prawdziwie. Widziałam po jego sposobie postępowania, że Aurelja była mu drogą. Prawda, że bardzo mało pisywał do mnie po wyjeździe, ale to nie zachwiało bynajmniej mojego zaufania w jego przyrzeczeniu i uczuciach. Przeznaczona mu przez jego ojca, wyobrażałam sobie naszą przyszłość; dzielić z nim każdą troskę, każdą radość, myśli jego urzędzać.. Niezyczliwe losy zawiodły moje nadzieje, a rozburkane wód bałwany, całą roskosz przyszłości zmieniły w okropność. (*ze łzami*) On już nie żyje!

J O N I.

Jeszcze go kocha!

A U R E L J A.

Przebacz mi, te łzy...

J O N I.

Niechaj je przyjaźń ukoi.. (*ściska ją*)

A U R E L J A.

Dobra, luba istoto. Mój ojciec słuszniemó-
wił, że cię z radością nazwę siostrą moją.
(*uściśk*)

JONI. (*spostrzega miniaturę*)

Czy to?...

A U R E L J A.

Tak, Alfons. (*podaje miniaturę*)

J O N I.

Ah, tak, to on.. jego spojrzenie, taż sama dobroć.

AURELJA. (*uwważając ją*)

Czy znalazś go? Gdzieżeś go widziała?

JONI. (*z płaczem*)

I gdzież go widzieć nie będę?

A U R E L J A.

Ten zapal przekonywa mię żeś znała Al-
fonsa.

JONI. (*całując miniaturę*)

Mojego dobroczyńcę, mojego ojca! jemu
winnam moje uwolnienie. Jego pamięć nigdy
nie wygaśnie z moiej duszy.

AURELJA. (*z zapalem*)

Al, gdzie? opowiedz mi jak najprędzej ten czyn szlachetny, a potem razem płakać będziemy...

J O N I.

Ojczyznę moją jest Afryka, w dwunastym roku sprzedano mię do Ameryki jednemu z białych. Chciwy ten człowiek żył nędznie, aby nigdy nędznym nie był. Ta namiętność odjęła mu piękne uczucie ludzkości. Głód i praca nad siłę, to był mój los codzienny. Al! ileż razy pragnęłam, aby śmierć zakończyła moje cierpienia, napróżno jej wzywałam. Zdawało się, że nawet śmierć sama głuchą była na głos nieszczęścia. Przez dwa lata znosząc brzemie dotkliwych udręczeń, utraciłam prawie czucie, i głos potajemny zwolna powstał w mojej duszy, aby sobie odebrać życie. Bez najmniejszego wzruszenia, z zimnym uśmiechem wyostrzyłam narzędzie które miało przeciąć pasmo dni moich i poszłam do lasu. Już podniosłam samobójcze żelazo gdy wtem...
«wstrzymaj się!» usłyszałam.

A U R E L J A.

I to był Alfons!

J O N I .

Tak, on sam. Kiedym go spostrzegła, zabójcze narzędzie wypadło z rąk moich; lękałam się bowiem kary.. »Nieszczęśliwa!.. zawołał »co chcesz czynić.« O pani, kto nieszczęśliwego nieszczęśliwym nazwie, ten już pozyskał całe jego zaufanie. Obawa moja zniknęła, z ufnością i żalem rzuciłam się do nóg jego, i zalana łzami opowiedziałm mu co mnie przywiodło do tego czynu. »Wstań, rzecze, pójdź ze mną. ja cię wykupię.« Te wyrazy wykupię cię! któż ich nie uczuje? ale któż określić zdoła? Ah, wierz mi pani, są chwile w których człowiek staje się Bóstwu podobnym; lecz tą niebiańską świetnością bogaci tylko otoczyć się mogą.

A U R E L J A .

Cóż ztąd, kiedy mała liczba umie uczuć tę słodycz.

J O N I .

Chciwość mojego pana korzystała z nalegającego żądania lorda, i wymagał za mnie dwa tysiące funtów szterlingów okupu.

A U R E L J A .

I cóż Alfons?

J O N I .

Za jedną szpetną mnrzynkę zapłacił dwa

tysiące funtów. (ze łzami) Dwa tysiące za mnie jakże mu to odwdzięczyć mogłam.

A U R E L J A.

Te łzy wdzięczności są zyskownym zwrotem.

J O N I.

Od tej chwili nędzna murzynka, wszystkiemi siły, całym ogniem serca przywiązała się do swojego nowego pana. Żadna moc na świecie, nawet on sam nie mógł mię już od siebie oddalić. Dał mi wolność, pieniędzy, odrzuciłam wszystko i dwadzieścia mil biegłam za jego powozem, z jękiem i łzami; musiał mię przy sobie zatrzymać. W nocy spałam pod jego drzwiami wsparłszy głowę na progu. Kazał mi odejść, na palcach wracałam, bacznie słuchając czyli spi spokojnie. Jeżeliśmy wlecie noc przepędzali, sama jedna czuwałam przy jego posłaniu, gotowa spotkać się z dzikim zwierzem, i wdzięcznością wiedziona, ocalając jego życie, własne mu ponieść w ofierze. Obdarzona przenikliwym wzrokiem, zgadywałam jego myśli, i pierwiej wykonywałam życzenia,

nim je usta wymówiły. Pani, jeżeli chcesz widzieć murzynkę jaką wówczas była, to przy-
patrz się wiernemu psu. Żadne złe obejście
nie osłabi jego przywiązania, czuwa on bez-
ustannie, jego wierność gardzi głodem i
niebezpieczeństwami, a najwyższą radość znaj-
duje w uśmiechu swojego pana. Teraz nawet
kiedy przypomnę sobie te wyrazy: »wykupię
cię,« nie jestem w stanie opisać mojego u-
czucia. Ah! jak cierpię żem dla niego umrzeć
nie mogła!

A U R E L J A.

Jakże więc rozłączyłaś się z nim?

J O N I.

To pytanie zbliża mię do największego ce-
lu. Ztrwogą jeszcze, ale z postanowieniem nie-
wzruszonym przystępuję do wyrzeczenia się i
wiecznego z nim rozdziału; jeżeli mię nie za-
trzyma ufna dłoń Aurelji.

A U R E L J A.

Rozdział, z kim?

J O N I.

Teraz nadeszła stanowcza chwila mojego
życia. Przysięgam na Boga, że całe moje
życzenie jest: aby tylko przy nim pozostać!

A U R E L J A.

Cóż to znaczy?...

J O N I.

Czyliż moje opowiadanie nie dało ci poznać że ten człowiek jest celem mojego uszanowania, mojej miłości?

A U R E L J A.

Ale...,

J O N I.

Ale miłość moja dla niego jest' świętém, czystém dobrem. Bóg wlał ją w moje serce, i w dniu mojego zgonu tę nieśkażoną miłość złożę u stóp Jego. Rozhukane morze nie wszystk ochłonie w swoich przepaściach, co jego bałwany pochłaniać się zdają! Przygotuj się!.. Zobaczysz go.

A U R E L J A.

Kogo?

J O N I.

Alfonsa. On żyje!

A U R E L J A.

Żyje! (*omdląta, pada na krzesło*)

J O N I. (*do siebie*)

Kocha go! (*dotyka się pulsu*) Puls się zatrzymał, serce bić przestało, oddech nie wydobywa się z tych ust wespół umarłych. Tém

wyobrażeniem śmierci przekonywa o swojej miłości. Kocha go prawdziwie, (z *ogniem*) ale nie tak jak ja. Ona go uczyni szczęśliwym. Przedwieczny Boże! przed tobą zrzekam się uroczyście Alfonsa, zrzekam się przeznaczenia, jakie dałeś każdej kobiecie, aby uczuć słodycz małżonki i roskosz matki; w tém pocałowaniu niech cała płonąca miłość z mojej duszy wpłynie w duszę jego małżonki.

SCENA VI.

ALFONS, POPRZEDZAJĄCE.

A L F O N S.

Gdzież ona jest? Czy wie?

JONI. (z *zapalem*)

Już, patrz!

A L F O N S.

Cóż to jest?

J O N I.

W tym obrazie śmierci jaśniej dla ciebie życie, miłość, i szczęście. Godną jest ciebie, kocha cię prawdziwie.

A L F O N S.

Joni.

J O N I.

Przywróć biedną do życia. Dotrzymaj sło-

wa, i oddaj jej to, czego Joni nie przyjmie nigdy. (*odchodzi*)

A L F O N S.

Jak okropne położenie! (*bierze za rękę Aurelję*) Aureljo! (*n. s.*) Nieszczęśliwa!

AURELJA. (*przychodząc do siebie*)

Ah!

A L F O N S.

Aureljo!

AURELJA. (*spogląda na niego*)

Ten głos. (*poznaje go*) Alfons! Ty żyjesz! Ah co się ze mną dzieje!... Alfons żyje!... a ja płaczę?!... Boże! czyliż radość tak uboga w słowa!

A L F O N S.

Joni ci zapewne opowiedziała...:..

A U R E L J A.

Gdzież ona jest, ta dobra, ta szlachetna dusza?..

A L F O N S.

Uspokój się Aureljo... drżysz cała...:

A U R E L J A.

Ah pozwól mi mówić, pozwól mi powiedzieć wszystko, lżej mi będzie. (*prędko*) To najpierwsza myśl moja, któryż anioł opiekuńczy ocalił ci życie?

A L F O N S.

Joni, z narażeniem dni własnych.

A U R E L J A.

Joni! Moja siostra Joni, ona ci uratowała życie, i szczęśliwa uzala się jeszcze!

A L F O N S.

Kiedy wzdęte bałwany morza, pochłaniały już ostatnie szczątki rozbitego okrętu, a my przyczepieni na tylnej jego części wzniesionej jeszcze nad morze, ostatniej oczekiwaliśmy chwili, widzę Joni gotową rzucić się w morze te wyrazy: »Alfonsie za mną!!!..« Już nie więcej nie słyszałem, uczułem tylko silną dłoń, która mię unosiła po głębinie morza, i zanurzonego nieraz wydobywała z otchłani śmierci. Nadludzką obdarzeni mocą, Joni i jej brat ratując mię już nieżywego prawie, dopłynęli do skał.

A U R E L J A.

Stokroć szczęśliwa Joni! Aurelja nie mogłaby cię wyratować!..

A L F O N S.

Z stu ośmdziesięciu ludzi, troje nas tylko ocalało. Biedna Joni ratując mię zapomniała o sobie samej. Ah! któż opisać zdoła tę chwilę, kiedy przyszedłszy do siebie, znalazłem się

na wierzchołku skały i ujrzałem tę lubą Joni, jak anioła opiekuńczego, klęczącą przy mnie; oczy jej niespokojne śledziły z chciwością każde ruszenie mojej twarzy; wlepione we mnie spojrzenie zdawało się oczekiwać pierwszego otwarcia już w pół umarłych powiek. Radość, gdy usłyszała moje westchnienie, i wątpliwa pewność, czyli to nie było ostatniem wysileniem życia, malowały się na jej twarzy. Ale kiedy po kilkogodzinnym spoczynku do sił cokolwiek wróciłem, znowu okropność stanęła przed nami. Strone skały, nieurodzajne, ani pożywienia, ani przytułku, ani ochrony przed burzą!.. Nieszczęście zdawało się najwyższego sięgać stopnia, kiedy na domiar i choroba, skutek przeziębienia i przestradchu, przyłączyła się jeszcze do naszej niedoli. Ich troskliwosci, zabiegom, powtórnie winieniem był życie. Ale głód byłby nas o śmierć przypawił, łaskawa Opatrzność wejrziała okiem litości i kiedy już poddawaliśmy się rozpacz, Joni spostrzegła kilku murzynów płynących na statku, ale byli zbyt daleko, aby mogli usłyszeć nasze prośby i wołania.

Przejęta radością, nie widząc brata, który szukać poszedł pożywienia... sama, zegnając mię, pełna nadziei okiem, jak błyskawica rzuca się w morze aby zbliżyć się do płynącego statku. Pomyślny skutek uwieńczył jej usiłowania. Przybyli na ratunek murzyni, i na prośby jej zabrali nas wszystkich.

A U R E L J A.

O cnotliwa istoto! jakże twój los godzien zazdrości.

SCENA VII.

JONI, AURELJA, ALFONS.

J O N I:

A cóż czy przyszła do siebie?

A U R E L J A.

Szczęśliwa Joni, to coś uczyniła dla Alfonsa zdumiewa mię i każę cię kochać jeszcze więcej.

J O N I.

Pani byłabyś uczyniła to samo.

A U R E L J A.

Nie Joni, może myśl byłaby też sama ale nie ten skutek. Byłabym w rozpacz, ale nie zdołałabym go ocalić. Ah sestro! gdybym posiadała skarby całego świata... czém e ci radość moję okazać, czém takie

sprawić przyjemność...? Ha!.. (*daje miniaturę Alfonsa*) Przyjmijcie to, co mi jest najdroższem na ziemi i całą miłość siostry.

JONI. (*biorąc miniaturę, n. s.*)

Cień za rzeczywistość. (*chowa ją w pugilares*) Jak twoja przyjaźń tak i to wyobrażenie, będzie mi wiecznie drogie.

AURELJA.

Ah, siostrze, gdybym mogła zazdrościć, jakżebyś ci zazdrościła!

SCENA VIII.

CIŻ I MAJOR.

MAJOR.

Cóż mój kochany Alfonsie! Jesteś kontent z mej Aurelji? Nie prawdaż, wyrosła, wypiękniała?

ALFONS.

Dobra i szlachetna, a to więcej znaczy nad piękność.

MAJOR.

A jak cię kocha! gdybyś wiedział co się napłakała po tobie.

ALFONS.

Wierzę!.. ale.. kochany Majorze, mój oj-
Tom X.

ciec.. widziałem go tak krótko... Pozwol droga kuzyuko, muszę iść do niego. *(odchodzi)*

AURELJA. *(która go pilnie uważała)*

Zdaje mi się, że smutek łączy się z jego radością.

MAJOR.

Ale gdzie tam?.. może on się też nie tak cieszy jak wszyscy ludzie.

AURELJA.

Kochany ojcze, jak tylko zacząłeś mówić o mnie, zaledwie słuchał. *(do Joni niespokojnie)* Jeżeli mię nie kocha..

MAJOR.

Dziecię jesteś! Opowiadał mi dopiero, że ci przywiózł całą skrzynię rozmaitych podarunków...

AURELJA.

To nie dowodzi przywiązania...

MAJOR.

Ale dowód, że nawet w Indji myślał o tobie...

AURELJA.

Jego spojrzenie zdaje się mię unikać.

MAJOR.

Ale człowiek, który zwiedził cały świat prawie,

nie może tak stać przy tobie z wlepionemi oczyma.

A U R E L J A.

Joni, czy on na wszystko jest tak obojętnym, czy też utracił dar wzajemnego udzielania swoich myśli.

J O N I

Odzyska go tutaj na nowo; znajdzie go.

M A J O R.

Co, znajdzie! Ah jużesmy jego znaleźli, to dosyć. Pójdźcie dzieci do lorda. (*wyprowadza ich*) Czeka na nas.

SCENA IX.

ŁUCJA, ALFONS.

ŁUCJA. (*wprowadzając Alfonsa*)

Możesz przecie poświęcić chwilke twojej starej ciotce.

A L F O N S.

Chętnie.

Ł U C J A.

Jak cię spostrzegłam, zemdlalam z radości. O tem nigdy nie powinienes zapomnieć.

A L F O N S.

Nie zapomnę.

Ł U C J A.

Kobieta taka jak ja z drobnostki nie ze-

mdleje, musi być coś ważnego. Pamiętaj i o tém że ja byłam jedyną dziedziczką twojego ojca, chociaż teraz nic nie mam, bo wiele wydawałam na ubogich, cieszy mię więc nie wymownie twój powrót, jestem przekonaną, że nie odbierzesz twojej ciotce drobnostki, którą pobiera rocznie od twojego ojca.

A L F O N S.

Owszem podwoję ją.

Ł U C J A.

Co podwoisz? kochany Alfons, drogie dziecko! Ale zasłużyłam na to, nie mało uzbierałam twojemu ojcu; nikt z porządných ludzi tak nie rozrzuca pieniędzy jak on. Nie cierpię skąpych, którzy tylko zawszeby chcieli brać, a nic nie dadzą; oh nie, skąpstwo jest największym z występków. Ale, mówiono mi żeś twojej Aurelji przywiózł całą skrzynię...

A U R E L J A.

I dla ciebie kochana ciotko!

Ł U C J A.

I dla mnie! O mój miły Boże! Ja nic nie potrzebuję!.. Gdzież są też...

A L F O N S.

Jeszcze w Londynie.

ŁUCJA. (*troskliwie*)

Ale czy tylko powierzyłeś je ludziom pewnym. Nie można nigdy być dosyć baczny.

A L F O N S.

Bądź spokojną, ciotko.

Ł U C J A.

Twoja podróż wiele kosztowała, musiano cię niezłe oszukiwać. Powiedzże mi, kto w drodze doglądał twojego przychodu i rozchodu?

A L F O N S.

Joni.

ŁUCJA. (*przerażona*)

Co murzynka! Wielki Boże!

A L F O N S.

Sądzisz więc....

Ł U C J A.

Dzicy ludzie mają szkaradny nałóg... Lubią wszystko co się tylko świeci.

A L F O N S.

Ale nie ona.

Ł U C J A.

No, no, ona nie! ale przecię zdawała ci rachunki.

A L F O N S.

Moje serce jest dla niej otwartem, dla cze-

góżbym pieniądze miał przed nią zamykać, i żądać z nich usprawiedliwienia się.

EUCLIA.

Pieniądzy nie zamykać! Lepiej serce otworzyć jak worek z pieniędzmi, bo z serca nikt nie nie weźmie.

ALFONS.

I ona nic nie uroniła, owszem pomnażała codzień moje szczęście.

EUCLIA.

Ale kochany Alfonsie, wszakże to jest kupiona, czarna istota....

ALFONS.

Nigdy dwa tysiące funtów szterlingów z większym zyskiem nie były zwrócone, jak te, które za nią zapłaciłem.

EUCLIA.

Dwa tysiące funtów szterlingów za jedną murzynkę? Czyliż nie mogłeś taniej kupić?

ALFONS.

Taniej, ja nic za nią nie dałem; ona jest darem nieba!

EUCLIA.

Jakto?

ALFONS.

Nie rozumiesz tego kochana ciotko?

Ł U C J A.

Co jabym darów nieba rozumieć nie miała?

A L F O N S.

Czyliż piękna, niewinna i czysta dusza, nie jest darem nieba?

Ł U C J A.

Eh, ona ma taką duszę jak wszyscy murzyni.

A L F O N S.

Gdyby tak było, dziśbym jeszcze wrócił do Afryki, aby żyć między aniołami.

Ł U C J A.

Oniemiałam. Co, murzynka w twoich oczach jest aniołem.

A L F O N S.

Tak, moja ciotko.

Ł U C J A.

Chyba czarnym aniołem, alboś ty poganinem został.

A L F O N S.

Jej dusza jest bielszą i czystsza od wielu, których kolor ciała od niej rozróżnia.

Ł U C J A.

Alfonsie, gdybyś tak mówił przy twojej narzeczonej...

A L F O N S.

Mówiłem...

EUCLIA.

To ja ciebie nie rozumiem.

ALFONS.

Więc proszę mię zrozumieć. Kto Joni obraża, ten jest nieprzyjacielem Alfonsa.

EUCLIA.

Ja nie obrażam jej wcale, cóż ona temu winna, że posiada nałóg wszystkim dzikim wrodzony i czasem bierze...

ALFONS.

Ona mi uratowała życie. Proszę ją szanować!

SCENA X.

CIŻ i JONI.

JONI.

Lord oczekuje pani.

EUCLIA.

Natychmiast moje kochane dziecię! Wiele masz lat?

JONI.

Dwadzieścia dwa.

EUCLIA.

Jestżeś chrześcijanką?

ALFONS.

Złe dobrem nagradza.

JONI.

Oto mój nauczyciel.

Æ U C J A.

Nauczył cię pewno moralności. Jeżeli postępować będziesz według przepisów, i wyrzekniesz się dawnych nawyknień, szczególnież pamiętać będziesz siódme przykazanie....

A L F O N S.

Proszę...

Æ U C J A.

Możesz być tak zbawioną jak jedna z białych. I ciągle podróżowałaś z moim siostrzeńcem.

J O N I.

Nieodstępnie.

Æ U C J A.

Czy tak? (*n. s.*) Brzydka, nie można mieć żadnego podejrzenia. (*głośno*) Rozumiem. — (*przypatrując się lepij*) Czarna... nie można nic złego pomyśleć.

A L F O N S. (*z gniewem*)

Przymusisz mię... mój ojciec czeka na ciebie.

Æ U C J A.

No i cóż, dobre nauki nawet aniołom dawać można.

A L F O N S.

Mój ojciec czeka.

ŁUCJA. *(odchodząc)*

Kto ją obrazi nigdy nieba oglądać nie będzie.

A L F O N S.

Joni przebacz jej.

J O N I.

Z duszy! powiada żem brzydka, czarna! Gdyby była Afrykanką, możeby powiedziała żem piękna.

A L F O N S.

Obraziła cię czém inném.

J O N I.

Własne przekonanie wynosi nas nad wszelką obrazę. *(chce odejść)*

A L F O N S.

Dokąd Joni?

J O N I.

Do milordza.

A L F O N S.

Proszę cię, zostań! Pójdź bliżej do mnie. Zdajesz się być cierpiącą.

J O N I.

Jakiemi jesteśmy sami, chcemy widzieć i naszych przyjaciół; ale dziś pierwszy raz twój humor nie zgadza się z moim; rzadko kiedy byłam tak wesołą, bo serce Aurelji zapewnia mi twoje i moje szczęście.

A L F O N S.

Moje szczęście w twojem sercu tylko znaleźć mogę.

J O N I.

A ja w uszczęśliwieniu twojem i Aurelji.

A L F O N S.

Mogłażbyś spokojnem okiem patrzeć na mnie jak na męża Aurelji...

J O N I.

Jeżeli wątpisz o tém, jestem bardzo nie-
szczęśliwą; bo obudzasz we mnie smutne prze-
konanie, że mój sposob myślenia tak odra-
żający, jak moja powierzchowność.

A L F O N S.

Czyliż możesz w ten sposób tłumaczyć sobie
znaczenie tych wyrazów? Przyznaję, Aurelja
piękna...

JONI. *(z zapalem)*

Ah przyjacielu! zachwycająca. Nie widzia-
łam nigdy jeszcze tak pięknej kobiety.

A L F O N S.

Prawda, ale kochać jej nie mogę.

J O N I.

Twoja wyobraźnia zepsuła się widokiem
niekształtnych istot, któreś napotykał w in-
nych stronach świata, i które widzisz co-

dziennie obok siebie. Przy Aurelji twój gust znowu się oczyści, uczucie rzeczywistej piękności obudzi się w tobie; pokochasz ją i kiedyś, razem śmiać się będziemy z terazniejszego twojego obląkania.

A L F O N S.

Joni wierzaj mi, zgadzam się z wszystkimi, że Aurelja jest piękną, ale ja przestałem być człowiekiem, u którego powierzchowność stanowi istotę. Głosu miłości słucham, nie zmysłów. Zwiedziłem świat prawie cały i uczyłem się poznawania serc ludzkich i sposobu myślenia, nie zastanawiałem się nad powierzchownością. Znalazłem jedną tylko kobietę na ziemi, która jest zdolną kochać wiecznie, ty nią jesteś Joni; połączenie z tobą jest największą potrzebą mojego serca, a to połączenie podług praw Europejskich, tylko przez małżeństwo ustalić się może. (z ogniem) Nie, Aurelja nigdy moją żoną nie będzie.

J O N I.

Kochałeś ją?

A L F O N S,

Zdawało mi się że ją kochałem.

J O N I.

Słowo dane jest świętém dla człowieka szlachetnie myślącego.

A L F O N S.

Lecz gdybym dotrzymaniem tego słowa zatrut życie godnej szczęścia istoty. Joni, nie mogę żyć bez ciebie! oddaj mi twoją rękę!

J O N I.

Nigdy! nigdy!

A L F O N S.

Wyjaw mi przynajmniej powód tej uporczywej odmowy.

J O N I.

Nie mam żadnego, twoje tylko szczęście!

A L F O N S.

Nie opuszczę cię nigdy. Prędzej z twoją miłością się rozłączę jak z tobą.

J O N I.

Rozłączyć się z tobą! Czyliż ja żądam tego? Alfonsie! przy tobie jest moje niebo! Nie, ja was nigdy nie opuszczę, gdyż tak jak teraz cię kocham, mogę kochać i męża Aurelji. Mój sposób myślenia nie zanieci zazdrości

w jej sercu, chcę być wiecznie twoją i jej przyjaciółką. Alfonsie, oto masz obraz nieba mojej upragnionej przyszłości, przypatrz mu się ale go nie rozdzieraj. Zniewolony prośbami ojca i mojemu połączysz się z Aurelją.

ALFONS. (*z żywością*)

Ja jej nie kocham!

J O N I.

Będiesz ją kochał; twoje oko ulegnie jej zachwycającym wdziękom; jej delikatna dłoń uściśnie cię przyjaźnie; a twoje wyobrażenie o miłości duszy, zniknie przed władzą namiętności. Kiedy złączona z tobą, nowej istocie nada tchnienie i życie, kiedy będziesz ojcem, to niewinne stworzenie obudzi w tobie dawne uczucia i przywiąże cię do matki niezłomnie ogniw. Joni widzieć będzie wasze uszczęśliwienie, czytać na twojem czole radość tkliwego ojca i błogosławić w duszy tę chwilę, kiedy własne serce dla was rozdarła.

ALFONS. (*jeszcze żywiój*)

Próżne marzenie. Natychmiast powiem Aurelji że jej nie kocham.

JONI. (*przerazona*)

Alfonsie.

A L F O N S.

Wyjawię ojeu moje uczucia dla ciebie. Nie odmówi mi swojego przyzwolenia.

J O N I.

Odmówi, jeżeli jest baczny i troskliwym ojcem.

A L F O N S.

Wtenczas opuszczę moją rodzinę.

JONI. (*stale*)

Ja nie pójdę za tobą.

ALFONS. (*namiętnie*)

Musisz Joni. Musisz być posłuszną, kiedy ja rozkazuję.

J O N I. -

Muszę! Ha!... Nie mówiłeś tak do mnie nawet wtenczas kiedyś była twoją niewolnicą!

A L F O N S.

Niewdzięczna! czyliż uporem wynagradzasz mój szacunek dla ciebie? Prawnie do mnie należysz, i te prawa są niezłomne.

JONI. (*gwałtownie*) -

Sam je zniszczyłeś w tej chwili, rozdarłeś wieczne uczucia wdzięczności, i wolność mi

nadana! Już nie chcę być twoją przyjaciółką, pragnę być twoją niewolnicą, ażebyś, mając wszelką nademną władzę, pozyskał kres szalonej miłości.

ALFONS. (*zdumiały*)

Joni!

J O N I.

Niech więc ukarzą obmierzłą murzynkę, za to, że najwyższą swoją rozkosz dla twojego szczęścia poświęcić chciała.

A L F O N S.

Wstrzymaj się Joni, ogień twojej rodzinnej ziemi cię ogarnął.

J O N I.

Wolałoby zdala od ciebie; w gorących strofach mojej ziemi, umrzeć z żalu i rozpacz, jak tu znieść tę myśl, że Alfons nie poznał mię jeszcze!

A L F O N S.

Joni, znam cię dobrze, twoja miłość dla mnie jest prawdziwą i szczerą.

J O N I.

Prawda, gotowa jestem w każdej chwili szczęście i życie poświęcić człowiekowi, który wstrzymał mię od samobójstwa; ale nigdy nie

pójdę z nim do ołtarza, nigdy żoną jego nie będę!

ALFONS. *(po chwili namysłu zbliża się nagle do Joni)*

Nawet w Afryce?

JONI. *(przejęta wdzięcznością i miłością)*

Alfonsie! *(zatrzymuje się)* Tu jest twoja ojczyzna!

A L F O N S.

Dosyc! Jestem najszczęśliwszym! *(odchodzi)*

J O N I.

Boże! cóżem uczyniła? Teraz uciekać muszę!

KONIEC DRUGIEGO AKTU:

AKT III.

SCENA I.

ZANGI, JONI.

JONI.

Opuściłam milorda na chwilę, pragnę pomówić z tobą mój bracie.

ZANGI.

Lord dobry człowiek; kocha cię jak ojciec.

JONI.

Prawda, ale nie mówmy o tem. Zangi, proszę cię, aby powóz był gotów do drogi.

ZANGI.

Gdzież pojedziesz?

JONI.

Do Londynu; chcę ukryć się w tem wielkiem mieście dopóty, dopóki Alfons....

ZANGI.

Co, Joni chce się ukryć przed Alfonsem.

JONI.

Muszę. Mamże stać się przyczyną smutku i nieszczęścia jego rodziny?

ZANGI.

Miłość nie czyni nas nieszczęśliwemi.

JONI.

Ale może uczynić. Najgrawanoby się z uczucia, jakim dla mnie przejęty, mianoby go za

nierozsądnego, naśmiewając się z koloru twarzy jego przyszłej.

Z A N G I.

Biali są dobrzy, o wszystkim mówią rozsądnie.

J O N I.

Ale nie zawsze tak działają. Iluż to ludzi z całą swoją umiejętnością nachyla się pod jarzmo przesądu. Większa część białych gotowa jest potępić najczcigodniejsze uczucie swoich braci, jeżeli się one z ich przywidzeniem nie zgadzają.

Z A N G I.

Być może, ale Alfons do nich nie podobny. I ja w t[em] nic złego nie widzę, że on ciebie kocha.

J O N I.

Jednakże ojciec jego cierpi zapewne, na samą myśl tak dziwnego związku swojego syna z murzynką. Aurelja przyplaci go spokojnością a może nawet zyciem. Uciekajmy bracie, pięćset funtów szterlingów wzięłam na nasze potrzeby z pieniędzy Alfonsa, on mi przebaczy.

Z A N G I.

To zmartwi naszego dobrego przyjaciela.
Nie wyjeżdżaj potajemnie.

J O N I.

! Tak być musi, zobaczę go dopiero jak męża Aurelji. Proszę cię kaź natychmiazt przygotować powóz, idę do lorda. Ktoś nadchodzi, rozejdźmy się. (*odchodzi*)

SCENA II.

AURELJA, MAJOR.

MAJOR, (*wchodzi*)

Dziecinna obawa, kochana córko. Dla czegożby cię nie miał już kochać?

A U R E L J A.

Nie zasłużyłam najego obojętność! przecież Alfons, tylko na Joni z upodobaniem spogląda.

M A J O R.

I ja to uważałem; zapewne wdzięczność.

A U R E L J A.

Nie mój ojciec, znam ja spojrzenie miłości ono wtenczas się tylko zwraca na obce przedmioty, kiedy się je ukryć pragnie.

M A J O R.

Ja nie przypuszczam tej myśli, nie podobna; ona jest za czarną, aby ją kochać można...

A U R E L J A.

Dla nas, to prawda; ale przyzwyczajenie i miłość upiększa wszystko, oko jego już oddawna przywykło do tego czarnego oblicza. (*wzdycha*) Wszystkiego się obawiam.

M A J O R.

Przypatrz się Joni, a potem spojrzysz w zwierciadło i śmieć się z tej obawy.

A U R E L J A.

Nie rumienię się wyznać, uczyniłam to, i weselsza obróciłam się ku niemu; był uprzejmy, ale obojętny. Naprowadziłam rozmowę o Joni, która właśnie śpiewała; dusza jego zdawała się napawać zachwycającemi tony jej lutni; i z wolna łącząc swoje pochwały z mojami: «Ona nie jest piękną,» powiedział..

M A J O R.

Tylko nie piękną!

A U R E L J A.

«Ale jej anielska dusza zachwyca; i biada temu kto tylko na powierzchowność kobiety uważa; przemija ona jak zorze poranne.» Mówił z uniesieniem o dowcipie Joni, o jej rodzinnej ziemi, o pojęciu z jakim przyjmowa-

ła jego nauki; i z jak zadziwiającém mężstwem
szła naprzeciw śmierci.

M A J O R.

Czy Joni słyszała to?

A U R E L J A.

Lord nie pozwala jej ani na chwilę oddać
się od siebie. Ah, ta istota pozbawiła mię
przywiązania wszystkich!

M A J O R.

Przecież twój ojciec podziela twoje eier-
pienia.

A U R E L J A.

Tu ojcowska miłość jest bezwładną; nie
wróci mi jego serca.

M A J O R.

A murzynka czy kocha go także?

A U R E L J A.

Bezwątpienia, ale miłość jej jest tak nie-
winną i czystą, że jej nawet nienawidzić nie
mogę. Uważa mię zawsze jako małżonkę Al-
fonsa; gdy tymczasem nawet ojciec jego, tak
jest upojony radością, że nie wspomniał je-
szcze ani słowa o związku swojego syna ze
mną.

M A J O R.

Jeżeli tak jest Aureljo, cóż mogę uczynić
dla ciebie?

A U R E L J A.

Pragnę tylko pewności; wątpliwość zabija.

SCENA III.

MAJOR, AURELJA, ALFONS.

A L F O N S.

Dobrze, że cię tu pani znajduję! (*spogląda na nią*) Jesteś smutną, to źle.

A U R E L J A.

Źle! (*boleśnie*) Więc odchodzę!

A L F O N S.

Dobra Aureljo, nie nadawaj tego znaczenia mojej mowie; wolałbym raczej obudzić gniew mojego największego nieprzyjaciela, niżeli ciebie zmartwić. Mam tajemnicę, którą naprzód powierzyć chcę ojcu pani.

A U R E L J A.

Jeżeli się nie mylę, tajemnica ta mnie się dotyczy.

ALFONS. (*po chwili*)

Nie zaprzeczam, luba Aureljo.

AURELJA. (*drżąc*)

Proszę pana, bądź szczerzy z moim ojcem. (*odchodzi*)

M A J O R.

No, mów! Nie, nie mów nic, widzę bowiem że mi nic dobrego nie powiesz.

A L F O N S.

Mój wuju, jesteś człowiekiem rozsądnym...

M A J O R.

Jestem także i ojcem!

A L F O N S.

- Ah gdybym mógł ojca oszczędzić! }

MAJOR. (*wzruszony*)

Alfonsie, Aurelja zawsze cię kocha.

A L F O N S.

Widzę to z zalem.

M A J O R.

Podzielałeś jej uczucia.

A L F O N S.

Załużę, że lekka miłość zanieciła płomień, którego rozkazów wiek dojrzały dopełnić nie może.

M A J O R.

Cóż świat na to powie?

A L F O N S.

Lepiej niech świat nazwie mię słabym, niżli gdyby kiedyś Aurelja przeniewiercą mię nazwała. Lżej znieść kilka godzinne cierpienia, jak łyż wieczne. Musi dowiedzieć się o tém, że nie-posiada mojego serca. Ta myśl, że szczerze z nią postępuję, doda mi odwagi; niech zapomni o mnie, i niech będzie szczęśliwą przy boku innego

małżonka, który jej przywiązanie pozyska. Wuj, weź to pismo, jest to dziedzictwo które zostawiasz twojej córce. Weź Aurelja jest moją siostrą, chce z nią podzielić wszystko co kiedyś będzie moją własnością, ale serce moje należy do Joni.

M A J O R.

Do Joni?

A L F O N S.

Tak jest, ona posiada go wiecznie, a jej sposób myślenia będzie tarczą przeciw wszystkim przesądom jakie się zapewne wzniosą, wzbraniając mi tego połączenia.

M A J O R.

Alfonsie czy zastanowiłeś się?..

A L F O N S.

Przez 6 lat było dosyć czasu.

M A J O R.

Twój ojciec?..

A L F O N S.

Zwiedzał świat równie jak i ja; widział szczęśliwe małżeństwa między Europejczykami i Indjanami, między białymi i czarnymi i będzie niezawodnie kochał swoje wnuki, chociaż mulatami będą.

Tom X

8.

M A J O R.

Ale przesąd...

A L F O N S.

W podróżach nauczyłem się gardzić jego więzami.

M A J O R.

Swiat?...

A L F O N S.

Ma pięć części. Wszędzie mieszkają ludzie. Co w jednej nazywają głupstwem i występkiem, w drugiej zowią rozsądkiem i cnotą.

M A J O R.

Cały Londyn szydzić będzie z ciebie.. w tym ucywilizowanym kraju..

A L F O N S.

Wtedy opuszczę go, udam się do Afryki, gdzie wszyscy kolor mojej Joni noszą natwarzy, tam w tym nie ucywilizowanym kraju nie będą szydzić, że Joni murzynka białego zaślubiła.

M A J O R.

A szlachectwo?..

A L F O N S.

Jest tu. Joni nie przyćmi go nigdy. W jej postępkach jest szlachetność. Kto wątpi o tém niech spojrzy na to ramię, tam są dowody niezgasłe, niestarte. Moje postanowienie jest nie-

złomne, nie wstrzymają mię żadne przeszkody; znalazłem drogę przez morza, skały i pustynie których nie dotknęła Europejczykstopa, znajdę więc i drogę do mojego szczęścia, do posiadania Joni.

M A J O R.

Godną jest cię, oto mojaręka! Alfonsie, uwalniam cię od słowa! przyrzekam uczynić co tylko będę mógł dla cię i dla Joni.

A L F O N S.

Ufam, wierzę i dziękuję. Teraz pomówię tylko kilka słów z Joni, a potem do ojca. (*odchodzi*)

SCENA IV.

AURELJA, MAJOR.

A U R E L J A.

Ah ojcze! Alfons mię nie kocha!

M A J O R.

Drogię dziecie, biedna córko.. nie płacz, twoje łzy spadają na moje serce. Jeżeli ci życie ojca jest drogiem, nie płacz.

AURELJA. (*po chwili z rozpaczą*)

Dobrze, bez łez, z suchém okiem mówię; on mię nie kocha. (*z gwałtownym płaczem*) Alfons kocha inną! (*wychodzi*)

MAJOR. (*wychodząc za córką*)
Aureljo! dziecię moje!...

SCENA V.

LORD JONI.

LORD. (*niosąc w ręku pudełko brylantów*)
O, ja wiem moja córko, że twoje serce jest najdroższym klejnotem, nie potrzebujesz żadnych kamieni.

JONI.

Zdaje się, że to byłby piękny ślubny podarunek dla Aurelji.

LORD.

Tak sądzisz, będzie go więc miała. Ale tobie muszę przecież jakimś sposobem okazać moją wdzięczność, abym mógł pozyskać twoje przywiązanie.

JONI.

Czyliż go już nie posiadasz milordzie?

LORD.

Jesteś więc chętnie przy mnie?

JONI.

Gdzież by mi przyjemniej być mogło?

LORD.

Będiesz więc przykrości mojego wieku osładzać twoim śpiewem.

J O N I.

To jedyne moje życzenie. Kocham cię Milordzie całą siłą mojej duszy.

L O R D.

Kochasz mię. Ale czyż nic dla ciebie uczynić nie mogę, coby ci radość sprawiło. Joni, jestem bogaty, lecz na cóż mi się przydadzą dostatki, kiedy ci których kocham, nie chcę nic przyjąć odemnie?

J O N I.

Twoje pełne łagodności spojrzenie, jest dla mnie tém, czém dobroczynne słońce dla ziemi. Jestem bogatą, i radość moja byłaby bez granic, gdyby mi długo wolno było całować tę dłoń ojcowską.

L O R D.

Dziewczyno, jeżeli potrafisz tak każde serce przyciągnąć do siebie jak moje, to wszystkich serca do ciebie należą.

J O N I.

Milordzie! ja pragnę tylko twojego, bo mimo woli zatrulałam spokojność dni twoich.

L O R D.

Ty Joni? Jakim sposobem?

J O N I.

Milordzie, przebaczenia! Ja wygnałam radość z twojego domu, wydarłam najwyższe dobro tkliwej istocie, której łzy płyną teraz może z złorzeczeniem. Zniweczyłam nadzieję dwóch ojców, i niepokój wniosłam w to ustroenie przed chwilą pełne radości.

L O R D.

Widzę że przy twojem całym ukształceniu zachowałeś ogień twojej rodzinnej ziemi. Bądź spokojną.

J O N I.

Spokojną! przy występku, który ciąży na mnie niewinnej? Spokojną przy boleści, która wkrótce jak burza cały ten dom ogarnie.

L O R D.

Mów jaśniej! Wszystko ci przebaczę. Pamiętam coś uczyniła dla mojego syna, gardząc widoczną śmiercią; jesteś i zostaniesz moją córką a jego siostrą.

J O N I.

Tak, jego siostrą chcę zostać, ale nigdy żoną.

L O R D.

Co mówisz?

J O N I.

On mię kocha.

LORD. (*osłupiały*)

Alfons?

J O N I.

Wdzięczność uważa za miłość. Wpadł w obłąd dla Joni, duch jego wznosi się nad mieszkańców tej ziemi, nad ich prawa i zwyczaje, uszlachetnia zaślepienie, które miłością i rozumem zowie, i nie widzi tej głębokiej przepaści odrazy, która białych od czarnych oddziela.

LORD. (*z wzrastającym zadziwieniem*)

Chce cię pojąć za żonę.

J O N I.

Nie pozwól na to Milordzie. Przeciw jego słabości, staw przywiązanie i siwy włos ojca. Weź w opiekę tę biedną Aurelję, która go prawdziwie kocha, widziałam jej łzy za nim płynące. Ulituj się nad nędzną murzynką, przyzwyczajoną do posłuszeństwa, możeby mu nie zawsze opór stawiać mogła, a wtenczas wiecznie, wiecznie cierpienie by jej towarzyszyło.

L O R D.

Przestań, pozwól mi chwilę... (pauza) Nie chcesz więc być jego żoną?

J O N I.

Nie milordzie!

L O R D.

Nie kochasz go? (Joni kładzie rękę na sercu i płacze)

L O R D.

Kochasz go?

JONI. (wskazując niebo) Najprzód Tego.. potem Alfonsa. Tak mówię teraz, tak mówić będę w ostatnią godzinę mojego życia. Najprzód Tego, potem Alfonsa.

LORD. (wybadując jej myśl)

A gdybym ja, dał zezwolenie?

JONI. (przerazona)

Musiałabym uciekać.

L O R D.

Uchodź więc, bo jeżeli on prosić będzie: mimo woli wszystkich, zezwolę.

J O N I.

Żegnam cię panie! (chce odejść prędko)

L O R D.

Joni, zostań! Aniele. (całuje ją) Dla czegoż cię córką nazywać nie mogę?

J O N I.

Gdyby cera moja zmienić się mogła, gdyby oblicze rumieńcem róży się okryło, nie ustąpiłabym nigdy, owszem dopóty bym u nóg twoich leżała, póki byś mię nie nazwał córką. Ale tak jak jestem, muszę jego przywiązanie błędem nazywać, bo cóżby on mógł kochać we mnie.

L O R D.

Twoje serce! Kiedy ja teraz szacuję cię, cóż on czuć musi; on, któremu dałaś tyle dowodów przywiązania. Ale Aurelja ma już moje, i jego słowo.

J O N I.

Powinien go dotrzymać.

L O R D.

Słusznie Joni, powinien!

SCENA VI.

ALFONS, POPRZEDZAJĄCY.

ALFONS. *(do Joni)*

Ty tutaj! szukałem cię w zwierzyńcu.

J O N I.

Idę do Aurelji *(odchodzi.)*

L O R D. *(po chwili)*

Alfonsie!.. nie jesteś zupełnie wesołym?

A L F O N S.

Mam nadzieję, że wkrótce nim będę.

L O R D.

To pewna, dzień twojego połączenia z Aurelą już jest ustanowiony. Okazałość go uświetni.

A L F O N S.

Rzadko okazałość dowodzi szczęścia, często ukrywa w sobie nędzę. Ojciec mój, mnie-małem dawniej, że kocham Aurelję, byłem w błędzie. Dziś wyznałem jej prawdę, i ta wspaniała istota wróciła mi dane słowo, ulegając wyższemu obowiązkowi które wskazuje mi wdzięczność dla Joni.

L O R D.

Co słyszę?

A L F O N S.

Tak ojciec! kocham Joni!

L O R D.

Murzynkę.

A L F O N S.

Ratując mi życie, nie uważała że jestem białym. Ojciec, miłość moja nie wznieciła się widokiem czarownego oblicza; pięknych ust koralowych; nie, ma ona niewzruszoną podstawę, z wyższego pochodzi natchnienia;

gdyż to, co ja w Joni kocham, nie ulegnie żadnej zmianie, ani potędze czasu; nie więdnie nigdy, pozostanie wiecznie kwitnącém; kocham jej cnotę. W jej czarném łonie bije szlachetne serce, szczerze do mnie przywiązane. Ojczy mój, jeżeli odmówisz twój zezwolenia na ten związek oddalisz go tylko, ale zmienić mój zamiar śmierć tylko zdolna.

L O R D.

Wiem wszystko co uczyniła dla ciebie, ale....

A L F O N S.

Nie, mój ojczy, nie wiesz. Blizna na tém ramieniu, jest najmocniejszym dowodem jej przywiązania. Ukąszenie najzjadliwszego węża, zwiastowało niechybny zgon, jeżeliby natychmiast nie odjęto ręki, lub nie wyssano trucizny. Kiedy leżałem bez zmysłów, Joni wyssała śmierć z rany, z tą trucizną cała moja dusza przeszła w jej łono na wieki, i kiedy po dwudziesto-dniowej ciężkiej chorobie do szaleństwa podobnej, uniknęła szczęśliwie śmierci.. nie miałem w nagrodę takiego poświęcenia, oddać jej mojego serca?

LORD. (*wzruszony*)

Alfonsie! Joni powinna być twoją żoną!

A L F O N S.

Ojcze, drogi ojcze!

L O R D.

Wyznaję, zwyciężyłeś mię. Jeżeli ona pójdzie z tobą do ołtarza, pobłogosławię wasz związek.

A L F O N S.

Ah ojcze, gdy zobaczy błogosławiącą twoją rękę wzniesioną nad jej głową, chętnie pójdzie za mną. Spieszę do niej. (*odchodzi*)

LORD. (*po chwili*)

A moja biedna Aurelja!

SCENA VII.

L O R D, A U R E L J A.

A U R E L J A.

Milordzie!

L O R D.

Ah to ty! wiesz.....

A U R E L J A.

Wszystko, i gotową jestem poświęcić się szczęściu twojego syna.

L O R D.

Ze łzami w oczach.

AURELJA.

Są one ostatnie; w nich osłoda cierpienia. w nich ulga zbolełego serca, przychodzę prosić cię Milordzie, abym potajemnie na krótki czas oddalić się mogła, ojciec mój już zezwolił.

LORD. (*wzruszony ściskając jej rękę*)
Jedź lube dziecię, jedź. (*odchodzi*)

SCENA VIII.

MAJOR, AURELJA.

MAJOR.

Otrzymałaś pozwolenie Milorda?

AURELJA.

Już mój ojczu.

MAJOR.

Więc pójdź, pójdź, Aureljo; nie masz dosyć stałości w nieszczęściu.

AURELJA.

Ulituj się nademną, znoś jak ociec moje cierpienia. Alfons widziéć ich nie powinien.

MAJOR.

Pójdź więc, powóz gotowy, tam możesz płakać bez przeszkody.

AURELJA.

To prawda, w miejscuzniweczonych moich
Tom X.

najpiękniejszych nadziei, nie wolno mi ani jednej lzy uronić.

M A J O R.

Alfons jest naszym dobroczyńcą. Twoje zapłakane oczy, byłyby najsroźszym dla niego wyrzu tem.

A U R E L J A.

Idźmy więc, prosiłam ciotki aby mogła od Joni dostać napowrót miniaturę Alfonsa. Któż mógł przewidzieć tę zmianę! Ojczy niezapomnij o niej.

ALFONS. (*za sceną*)

Joni, muszę z tobą pomówić.

(*Aurelja przerażona, okrywa się zasłoną i uchodzi z ojcem*)

SCENA IX.

ALFONS, JONI.

A L F O N S.

Zatrzymaj się! kogóż szukasz tak niespokojnie?

JONI. (*chce odejść*)

Aurelji.

ALFONS. (*prosząc*)

Zatrzymaj się Joni.

JON. (*niespokojna*)

Czego żądasz odemnie?

A L F O N S.

Chcę radość moję z tobą podzielić.

J O N I.

Radość! Możeżli syn cieszyć się gdy ojciec cierpi?

A L F O N S.

On pochwała tę miłość.

J O N I.

Prawdziwa miłość jest szlachetną, nie skrapia swoich róż cudzemi łzami i nie uśmiecha się przy cudzych cierpieniach. Jest ona odbiciem tej edwiecznej miłości, którą ludzom. nieba udzieliły, aby uszczęśliwiać bliźnich. Wiem wszystko, ty stałeś, się przyczyną łez stariego ojca, dobrego wuja, i biódnej Aurelji; płonące spadły one na moje serce, i jaż cię mam kochać... Nadużyłeś ojcowskiego przywiązania, bo czegoż nie uczyni umierający ojciec dla swojego syna, słaby starzec, grobu bliski, może dniswoje skrócić, ale synowi odmówić nie może.

ŁUCJA. (*za sceną*)

Nie! nie! Murzynka, to nie podobna!

SCENA X.

MAJOR ŁUCJA. POPRZEDZAJĄCY.

M A J O R.

Siostró, umiarkuj się!

Ł U C J A.

Daj mi pokój! (*do Alfonsa*) Powiedz mi, czy to prawda, że chcesz zaślubić to czarne stworzenie.

ALFONS. (*stale z gniewem*)

Tak, jak jestem Lordem Fleetwell.

Ł U C J A.

Zaślubić, ty.. ożenić się z nią! to niepodobna. Żartujecie, chcecie mię udrećzać, nabawić niespokojności.

A L F O N S.

Mam już pozwolenie ojca. Joni będzie moją żoną.

Ł U C J A.

Tyś szalony, albo chcesz żeby ja rozum straciła.

A L F O N S.

Kocham ją.

Ł U C J A

Lord, ożenić się z murzynką?...

A L F O N S.

Tak, Lord Fleetwell.

Ł U C J A.

Podajcie mi krzesło. Krew mi bije do głowy... Wziąć za żonę istotę, której sam widok przypomina występki....

A L F O N S.

Ciotko! nie zapominaj się!

Ł U C J A.

Ożenić się z kobietą, którą niebo umyślnie tak naznaczyło, aby się każdy chrześcijanin wystrzegał... z czarownicą...

ALFONS. (*do Joni*)

Joni! Odejdź..

J O N I.

Dla czego? (*spokojnie*) Jej głos jest głosem świata. Słuchaj go.

Ł U C J A.

Pojadę do Londynu, do dworu, oskarżę ją o czarodziejstwo. Musi być spalona, ona ci zapewne podała zaczarowany napój miłosny.

ALFONS. (*gwałtownie*)

Czy chcesz, abym zapomniał że jesteś siostrą mojej matki.

M A J O R.

Alfonsie, zostaw nas!

J O N I.

Pozwól mi pomówić sam na sam z milady,
zaklinam cię na twoje życie, tak mi drogie!

M A J O R.

Idź Alfonsie!

A L F O N S.

Majątek oddam chętnie, ale nie opuszczę
Joni.

Ł U C J A.

Co znaczy majątek, honor i dusza są pier-
wsze. To małżeństwo byłoby ohydą dla całej
familji.

A L F O N S.

Gardzę rodziną, która temi słowy się od-
zywa! Nie mogę szanować tej, która obwinia
moją narzeczoną.

MAJOR. (*prosząc*)

Alfonsie!

J O N I.

Panie majorze, gniew go unosi. Oddal go.

M A J O R.

Pójdź!

A L F O N S.

Idę, ale za każdą łzę jej wyciśniętą.....

M A J O R.

Pójdź, proszę cię... (*wyprowadza go*)

ÆUCJA. (*patrzy na Joni zmieszana*)

Czego ona chce.

J O N I.

Milady, posłuchaj mię cierpliwie. Powóz czeka na mnie w zwierzyńcu, za pięć minut już mię tu nie będzie. Ucieczką tylko mogę ocalić siebie i Alfonsa!

Æ U C J A.

Chcesz uciec ztąd? przewybornie. Przekonywasz się więc sama, że to jest największym szaleństwem, chcesz zawrzeć taki związek. Milczysz, bardzo dobrze, bardzo rozsądnie. Chcesz tedy uciec....

J O N I.

Tak jest, idzie tylko o to, aby Alfons nie zaraz dowiedział się o mojem oddaleniu.

Æ U C J A.

Już zdaj się w tém na mnie. Jedź tylko, jedź jak najprędzej lube dziecię! Bóg cię pobłogosławi za tę ucieczkę.

J O N I.

Tu są klucze od jego pieniędzy.

Æ U C J A.

Od pieniędzy; musiałaś ich tam nie mało wziąć sobie na drogę; ale łaski, jaką mu wy-

świadczasz, nie można dostatecznie opłacić;
dla tego jedź sobie.

J O N I.

Zegnam cię milady!

Ł U C J A.

Jeszcze chwilę! Daj no mi miniaturę, którą
ci darowała Aurelja. Gdziesz ją masz.

JONI. (*przełękła*)

Mam ją przy sobie.

Ł U C J A.

Daj no ją tu.

J O N I.

Milady, Aurelja posiada samego Alfonsa,
pozволь mi zatrzymać jego wyobrażenie! Ono
będzie mi towarzyszyć w ucieczce, pocieszać
w samotności, i w cierpieniach dodawać odwa-
gi. Uboga, oddalę się od niego, zostaw mi
tylko milady obraz jego.

Ł U C J A.

Gdzież jest? zobaczę go tylko.

J O N I.

[Natychmiast. (*wyjmuje pugilares*) Tu.

ŁUCJA, (*odbiera*)

Teraz jedź sobie moje dziecię. (*chowa pu-
gilaras*)

JONI. (*gwałtownie*)

Milady!

ŁUCJA. (*dumnie*)

Cóż?

J O N I.

Jestże to szlachetny postępek? Aurelja mi go podarowała, to jest moja własność. Dobrowolnie rozłączam się z człowiekiem, którego mogłam posiadać, a wy gwałtem wydzieracie mi jego wyobrażenie.

Ł U C J A.

Przyrzekam ci, otrzymasz za to miesięczne wynagrodzenie.

J O N I.

Wynagrodzenie! Milady, to niegodnie! Żądam zwrotu mojej własności.

ŁUCJA. (*zamyka wbiórku pugilares wzięty od Joni i ten, który lord w pierwszym akcie dał Kebirowi*)

Weź teraz jeżeli czarować umiesz. (*odchodzi*)

JONI. (*z goryczą*)

- Czarować nie umiem, ale natura dała mi dosyć sił, abym to otworzyć mogła. (*odrywa*)

wierzch biórka) Żywego oddałam, nie odbierajcie mi niemych rysów; niech mi towarzyszą do grobu. (*porywa wprędkości pugilares Lorda, w którym jest 500 funtów szterlingów*) Pierwszy raz z nim się rozłączam; może go już nigdy nie zobaczę! (*z boleścią*) Nigdy więcej. Precz z tą okropną myślą! Jego szczęście wymaga tej ofiary. Uciekajmy! (*spiesznie odchodzi*)

SCENA XI.

ŁUCJA, SŁUŻĄCY.

Ł U C J A.

Idź za tą murzynką, zobaczysz czy wsiądzie do powozu stojącego w zwierzyńcu, i doniesiesz mi o tém.

S Ł U Ż Ą C Y.

Dobrze milady! (*odchodzi*)

ŁUCJA. (*patrząc przez okno*)

Jak prędko biegnie ta przeklęta murzynka; teraz zobaczmy co ona też miała w tym pugilaresie. (*sposstrzega odbite biórko*) Wielki Boże, biórko odbite. (*krzycząc*) Murzynka

odbiła! (*bierze prędko pugilares*) To jej pugilares; gdzież jest ten z 500 funtami szterlingów? (*szuka niespokojnie*) Janie, Adamie! O ja nieszczęśliwa! Janie! Antoni!

SCENA XII.

JAN, ŁUCJA, później MAJOR.

J A N.

Cóż się stało Milady?

Ł U C J A.

Jestem skradzioną, rozbito biórko (*szuka wciąż*) Bóg wie ile tysięcy funtów mi zabrano. Biegnijcie do Sędziego! Przysięgnę. Niech wyda natychmiast rozkaz uwięzienia téj murzynki. Ona mię okradła. Biegnijcie za nią.

JAN. (*odchodzi*)

M A J O R.

Cóż to za hałas?

Ł U C J A.

O ja nieszczęśliwa.

M A J O R.

Cóż się stało?

Ł U C J A.

Gwałtem rozbili biórko...Nie mogę nawet wiedzieć wiele mi ukradziono. Tu było więcej — szuflada była pełna. O przekłeta murzynka.

MAJOR.

Ale uspokój się.

ŁUCJA.

Jestem żebraczką i mam być spokojną!

SCENA XIII.

MAJOR, ŁUCJA, LORD, ALFONS.

LORD,

Cóż nowego?

ALFONS.

Gdzie jest Joni?

ŁUCJA.

Jestem skradzioną—*(szukając wciąż)* nie wiem wiele tysięcy funtów.

ALFONS.

Ale któż...

ŁUCJA.

Patrz! Gwałtowne włamanie! Cała paczka bankowych biletów, nie widzę nawet brylantów.

ALFONS.

Któżby je mógł ukraść!

ŁUCJA.

Kto? Twoja murzynka.

ALFONS. *(z gniewem)*

Co!

MAJOR.

Łucjo.

ŁUCJA.

Tak, ta złodziejka, czarna! Przysięnę na to.

ALFONS.

Przysięgnij tysiąc razy. To fałsz! Niech przywołają Joni, gdzież ona jest?

ŁUCJA.

Uciekła!

ALFONS.

Uciekła! Joni uciekła!

MAJOR.

Widziałem powóz w zwierzyńcu.

ŁUCJA. (*niespokojnie*)

Biegnijcie za złodziejką.

LORD.

Siostro! ta szlachetna istota mogła oddalić się, ale nie nie wzięła.

ŁUCJA.

Pugilares z pięciuset funtami szterlingów.

ALFONS. (*w największej boleści*)

Nawet uczuć nie możesz jaką krzywdę wy-
rządzasz temu najenotliwшему stworzeniu.

SCENA XIV.

SEDZIA, POPRZEDZAJĄCY.

SEEDZIA.

Milady żądałaś rozkazu uwięzienia?

Tom X

10.

LORD. (*prędko*)

Niech go nie wykonywają!

ŁUCJA. (*wznosząc rękę*)

Przysięgam, że murzynka jest złodziejką.

A L F O N S.

Na Boga zaklinam!..

L O R D.

Ręczę honorem, że jest niewinną!

M A J O R.

Mości sędzio, omyłka...

S E D Z I A.

Milordzie, rozkaz uwięzienia. Milady przysięgła.

L O R D.

I ja przysięgnę.

S E D R I A.

Za późno milordzie! Poślej za nią w pogoń.

A L F O N S.

Co, Joni w niebezpieczeństwie, a ja stoję tu.
(*chce biedz*)

LORD. (*zatrzymuje go*)

Alfonsie! dokąd!

A L F O N S.

Joni w niebezpieczeństwie, może najokrutniej się z nią obchodzą..

S E D Z I A.

Milordzie powściągnij swoją mowę, posłuchaj mię!

A L F O N S.

Nie słucham nic, pragnę ją ratować.

L O R D.

Synu!

M A J O R.

Alfonsie!

S E D Z I A.

Prawa!.....

ALFONS. (*z gniewem*)

Każdemu szlachetnemu człowiekowi Bóg wyrył prawa w jego sercu! Jeżeli podług nich postępuje, nie zbroczy nigdy z drogi cnoty i powinności! (*wybiega*)

KONIEC TRZECIEGO AKTU.

AKT IV.

SCENA I.

SĘDZIA, ŁUCJA.

ŁUCJA.

Przekonamy się, czy moje pdejrzenie było bezzasadne.

SĘDZIA.

Wnosząc z opowiadania lorda, mniemam, że ta murzynka nie mogła popełnić tego występkę...

ŁUCJA.

Murzynką jest to dosyc, a czarni już wko-
lebce sposobią palce do kradzieży.

SĘDZIA.

Kochając Alfonsa...

ŁUCJA.

Okrada jego ciotkę...

SĘDZIA.

Przecież unika związku, którego jej dusza
pragnie.

ŁUCJA.

Udanie.

SĘDZIA.

Milady bezwątpienia czuje inaczej..

Ł U C J A.

Za to obmyśliłam jej wynagrodzenie pieniężne.

S E D Z I A.

Pieniędzmi nie opłaci się miłości, przywiązania. Te 500 funtów szterlingów...

Ł U C J A.

Ha, może wzięła więcej. To właśnie mnie czyni niespokojną.

S E D Z I A.

Wspomnij tylko pani na to, co Joni uczyniła...

Ł U C J A.

Czy to należy do sprawy?...

S E D Z I A.

Do sprawy nie; ale twoje serce milady....

Ł U C J A.

Ona odbiła to biurko, w którym był mój cały szczupły majątek.... Mogę być spokojną.

S E D Z I A.

Jeżeli się o tem przekonamy, nasze prawa skazują występna na śmierć.

Ł U C J A.

Gdyby mi tylko 500 funtów szterlingów wzięła, darowałabym jej chętnie. Jestem chrześcijanką i nie chcę jej życia.

S E D Z I A.

Jeżeli ta murzynka gwałtem otworzyła to biorko, i choć jeden szylling zabrała, (z *znaczeniem*) bez przebaczenia zginie na rusztowaniu. Milady, pomnij że wydrzesz życie tej, która uratowała twojego Alfonsa, jej krew spadnie na ciebie.

Ł U C J A.

Jeżeli odbiorę moje pieniądze, będzie można zatrzyć całą tę sprawę.

S E D R I A.

Tylko niewiadomości przebacza się podobną mowę. Alfens kocha Joni, postępek ten może go przywieść do rozpacz, a ujrawszy Joni w rękach sług sądowych, będzie chciał ją uwolnić; prawa nasze są surowe, nie zważają ani na stan, ani na znaczenie. Życzę z duszy, abyś milady nie żałowała twojego pospiechu.

Ł U C J A!

Miły Boże! poradźże mi Pan, cóż teraz mam czynić?

S E D Z I A.

Mnie nie można pytać o to?

Ł U C J A.

Kogóż więc?

S E D Z I A.

Serca i rozsądku.

Ł U C J A.

To nic mi nie powiedziałaś panie sędzio.

S E D Z I A.

Żałuję cię tedy milady. (*odchodzi*)

SCENA II.

MAJOR, POPRZEDZAJĄCY.

M A J O R.

Zatrzymaj się, nie opuszczaj nas w tém okropnym położeniu!

S E D Z I A.

Cóż ja mogę uczynić. (*z znaczeniem*) Wszystko zawisło od tego, czyli czasem milady nie-
zbyt spieszno przysięgła!

Ł U C J A.

Nie! tegom nie uczyniła.

M A J O R.

Ale nie rozumiesz więc, czego pan sędzia
żąda.

S E D Z I A.

Ja nic nie żądam, ja nic żądać nie mogę.

M A J O R.

Siostró, wyznaj tylko, żeś fałszywie przy-
sięgła.

SĘDZIA.

Z pospiechu, z przestachu....

MAJOR.

Czy nie domyślasz się; ten zacny człowiek daje ci do zrozumienia.

SĘDZIA.

Ja nic nie mówię. (*chce odejść*)

MAJOR.

Gdzież panie sędzio?

SĘDZIA.

Może pan masz pomówić z milady o rzeczach, których słyszeć nie powinienem.

MAJOR.

Rozumiem. Niech Bóg wie twoje kroki. Siostró, spiesz za nim, cofnij twoje oskarżenie, twoją przysięgę! Poddaj się karze przepisanej za ten pospiech.

ŁUCJA.

Co, ja mam się poddać karze? Dla ocalenia życia murzynce, nie mogę poświęcać pokoju mojej duszy i pieniędzy.

SCENA III.

SĘDZIA, MAJOR, ŁUCJA.

SĘDZIA.

Już ją prowadzą. Co się ma stać niech się natychmiast stanie.

MAJOR.

Siostro! proszę cię na miłość Boga!

ŁUCJA.

Nie.

SCENA IV.

LORD POPRZEDZAJĄCY.

LORD.

Przyjaciele, jeżeliby mój syn nadszedł, za-
trzymajcie go. Panie sędzio, zdaję się na
Boga i na ciebie.

SĘDZIA.

Milordzie! Moc praw silniejsza nad moje
chęci i serce. Milady trwa w swoim oskarżeniu.

LORD.

Milady! zaspokoję twoją chciwość. Odwo-
łaj tylko oskarżenie!

SĘDZIA.

Już za późno!

SCENA V.

SĘDZIA, MAJOR, ŁUCJA, LORD, JONI, ZANGI,
SŁUDZY SĄDOWI.

SĘDZIA (z gniewem.)

Dla czegoż związana?

JEDEN z SŁUG.

Opierała się, a murzyn jak tygrys rzucał

się na nas. Gdyby nam sześciu ludzi na pomoc nie przyszło, nie bylibyśmy im dali rady.

L O R D.

Joni! Biedna Joni! cóżeś uczyniła?

JONI (*spokojna.*)

Spodzielam się, że mi tu przecież powiedzą.

S E D Z I A.

Rozwiążcie ją.

JONI. (*z żywością*)

Nie, dopóki się nie dowiem jaki popełniłam występki.

L O R D.

Twoja nieszczęśliwa ucieczka....

JONI. (*prędko*)

Obraziła Alfonsa? A więc to za jego rozkazem mię tu przyprowadzono. Przedwieczny Boże! Tak się obchodzi ze mną ten, za którego codziennie wznosiłam modły do Ciebie, dla którego tyle łez wylałam, i gotową byłam poświęcić wszystką krew moją.

S E D Z I A.

Nie z jego to woli jesteś uwieziona. Rzucił się jak wściekły na twój ratunek, gdy się

dowiedział że cię uwięzić chciano. Umarłby z bóleści, gdyby cię spostrzegł w tym stanie.

J O N I.

A więc nie jego rozkaz? *(całując więzy)*
Teraz jestem szczęśliwą.

S E D Z I A.

Rozwiązać jej ręce.

(Joni nie pozwala.)

S E D Z I A.

Jesteś oskarżoną o kradzież.

JONI. *(przerażona)*

Wielki Boże!

ZANGI. *(uaprzód postępując)*

Joni o kradzież oskarżona! kto śmiał!...

S E D Z I A.

Wyprowadzić jej brata...

(Studzy wyprowadzają go, Zangi opierając się)

Niegodni... siostró... Joni!... *(wychodzi)*

JONI. *(ostłupiała)*

Ja! o kradzież!... *(spogląda dziko około siebie.)* Mnie zarzucają tak ohydny występki? Mnie, która postanowiłam uniknąć potajemnie związku mogącego mię umieścić w rzędzie najszczęśliwszych i najbogatszych kobiet w całej Anglii! Tyle lat majątek Alfonsa był moim prawie, a jestem tak uboga.

Biedna uciekam, chwytają mię jako zbrodniarkę, wiążą powrozem ręce, które go z przepaści morskich uniosły! Pragnę poznać tego który mi chce wydrzeć honor na wieki.

L O R D.

Droga Joni, uspokój się! Ręka mojego syna utracony honor ci powróci.

J O N I.

Ja sama chcę go ocalić, potem oddalić się do mojej ojczyzny i opowiadaniem moich nieszczęść rodakom, przekonać ich o tej straszliwej prawdzie, że ucywilizowani ludzie nie są najlepsi. Jakąż więc popełniłam kradzież?

SĘDZIA. *(z tkliwością)*

Pozwól mi tej przyjemności, ażebym sam...

J O N I.

Nie panie! Już byłam długo związana jako wściekła, kiedym z rany Alfonsa wciągnęła w siebie jad trucizny! *(z gorzkim uśmiechem)*

Już przywykłam do tego!

S E D Z I A.

Jestem sędzią; tak być musi...

JONI. *(podaje ręce)*

Wstępna nie ma własnej woli.

SEDZIA. (*rozwiązuje ręce Joni*)

J O N I.

Naprzód powiedz mi panie kto mię oskarża?

SEDZIA. (*wskazując na Milady*)

Milady Łucja...

J O N I.

Milady! z tą pełną niepokoju postacią, z tą twarzą jawnie żal i wstyd malującą?

S E D Z I A.

Miałaś to biurko gwałtem otworzyć.

JONI. (*przełękła*)

Tak.. prawda, uczyniłam to. (*wszyscy prze-
rażeni*) Jeżeli to jest zbrodnią wydartą sobie
własność odebrać.. jestem występna. Otworzy-
łam siłą to biurko.

L O R D.

Nie podobna!

ŁUCJA. (*tryumfując*)

A co nie mówiłam, słyszycie sami!

M A J O R.

Zginęłaś!

S E D Z I A.

Proszę o milczenie! lube dziecię! pamiętaj
na to co mówisz! Gwałtowne wylamanie śmier-
cią karane jest w Anglii.

LORD. (z pośpiechem)

Dla czegoż je wyłamałaś?

S E D Z I A.

Milordzie pozwól! Co wzięłaś z tamtąd?

J O N I.

To co moiém było, pugilares! (*szuka go*)

S E D Z I A.

Miałaś także wziąć i 500 fun. szter.

LUCJA. (*prędko*)

Były w pugilaresie.

J O N I.

Milady! To co wzięłam na potrzeby mojego utrzymania w Londynie, wzięłam z pieniędzy Alfonsa. (*oddając sędziemu pugilares*)
Proszę przejrzeć...

Ł U C J A.

Musi tam być pięć biletów, każdy po 100, funtów.

S E D Z I A

Do kogo należy ten pugilares?

J O N I. (*z mocą*)

Do mnie.

Ł U C J A.

Nie, do mnie.

J O N I.

Jakto. (*przypatruje się*) Wielki Boże, nie,

to nie mój! z prędkości i przestachu porwa-
łam cudzy.

Ł U C J A.

Było w nim 500 funtów.

J O N I.

Na Boga przysięgam że go nie otwierała!

SEDZIA. (*przeszukawszy*)

Nie ma nic. (*pauza*) Milady czy wiesz z pe-
wnością, że w nim było ta sunna?

Ł U C J A.

Mogę przysiąc na to.

S E D Z I A.

Nie pierwaj Milady aż zażadam tego. Przy-
sięga jest wielkim, strasznym czynem; kto sko-
ry w jej wykonywaniu, temu się nie powinno
dozwalać przysięgi. Joni, cóż cię skłoniło isto-
tnie do otwarcia tego zamku!

J O N I.

Miss Aurelja darowała mi Alfonsa miniatu-
rę, Milady odebrała mi ją gwałtem i wrzuci-
ła do tego biurka. Ten niegodny postepok
oburzył mię, zapomniałam w gniewie gdzie się
znajduje, myśląc tylko o stracie, otworzyłam
to biurko i mimowolnie wzięłam ten pugila-
res zamiast mojego.

LORD. (*spostrzega go*)

Jeżeli się nie mylę, on do mnie należał, tego poranku dałem go mojemu murzynowi Kebir. Jakim sposobem dostał się wtwoje ręce milady?

ŁUCJA. (*zmieszana*)

Bo... tak.. ja dałam mu na podróż inne pieniądze.. chciałam bowiem ten pugilares jako znak twojej dobroczynności nosić przy sercu przez całe życie.

L O R D.

Milady!

S E D Z I A.

Uspokój się Milordzie! Joni, powiedz szczerze czy nie masz przy sobie pięciu biletów po 100 funtów szter? Może to jest jedyny środek ocalenia.

J O N I.

Zginęłam!

W S Z Y S C Y.

Boże!..

J O N I,

Los chce mię przygnębić! (*wyjmuje bilety*)
Oto są. Ale na Boga przysięgam, że te bilety wzięłam z pieniędzy Alfonsa, nie z tego pugilaresu.

SEUŻIA. (liczy)

Każdy po sto funtów! Czy masz świadków, że te pieniądze wzięłaś z pieniędzy Alfonsa?

J O N I.

Bóg tylko.

S E D Z I A.

Czy wie Alfons ile miał pieniędzy?

J O N I.

Nigdy o tem nie wiedział.

S E D Z I A.

I nie zaprzeczasz temu, żeś gwałtem otworzyła to biurko, i wzięła z niego ten pugilares?

J O N I.

Nigdy się prawdy nie zapieram.

S E D Z I A.

Biedna Joni, lubo przekonany jestem... ale muszę postępować według prawa, i kazać cię zaprowadzić do więzienia.

W S Z Y S C Y.

Boże!

Ł U C J A.

Zem dleję.

J O N I.

Jestem posłuszna! Spojrzenie Przedwiecznego przeciska się i do głębi więzienia. Prowadźcie mię.

SCENA

AKT VI.

CIŻ, SŁUŻĄCY, potem ALFONS.

SŁUŻĄCY. (*prędko wchodząc*)

Milordzie! sił Alfons nadchodzi. (*wszyscy przerażeni*)

JONI. (*drżąca*)

Panie! Milordzie! Ukryjcie przed nim moje nieszczęście, znam go dobrze, nie będzie miał na nic względu, gotów narazić własne życie dla ocalenia mojego.

L O R D.

Już wie wszystko.

ALFONS. (*za sceną*)

Piecz! Pezcz mówię! (*wpada błady, bez tchu prawie*) Gdzie ona jest, Joni? Droga Joni! ha, odzyskałem cię znowu! Boże! dodaj mi sił... abym mógł powiedzieć co wycierpiałem.

J O N I,

Dobry Alfonsie! uspokój się! Za bardzo trwożysz się o rzecz tak małą!

A L F O N S.

Tak małą! (*spogląda zagniewanem okiem na przytomnych*) Przysięgam na Boga, kto usta otworzy aby cię oskarżyć, (*dobywa pu-*

ginał) kto rękę wzniesie na ciebie, tego zamorduję.

L O R D.

Synu!

M A J O R.

Alfonsie!

S E D Z I A.

Panie!

Ł U C J A.

Ah mój Boże!

A L F O N S.

Tak, przysięgam na Boga, na moją wdzięczność i jej niewinność, zginie z mojej ręki.

SEDZIA. (*zbliża się, mówiąc łagodnie*)

Panie Alfonsie!

A L F O N S.

Oddal się!

J O N I.

Nie obrażaj tego szlachetnego człowieka, mojego dobrego sędziego! Przyjdź do siebie, i posłuchaj kochającej cię Joni! Mnie nic nie zagraża. Nie jestem w żadnym niebezpieczeństwie, już wszystko przeminęło; a więc precz z tym zabójczym żelazem, z tym zagniewanym spojrzeniem. Widzisz, że jestem wesolą.

A L F O N S.

Honor twój splamiony, skażony chciwością
jednej nierozważnej kobiety.!

JONI. (*prędko*)

Którą powinienesz szanować.

A L F O N S.

Pokrewieństwo nakazuje tylko przywiązanie;
ale sposób myślenia wzbudza szacunek. Oskar-
żyła cię fałszywie o najohydniejszy występек.

JONI.

Nie, ona prawdę powiedziała, ja siłą otwo-
rzyłam to biurko.

ALFONS. (*przerażony*)

Ah! (*po krótkim namyśle*) Panie, to na mój
rozkaz. Jest jeszcze moją niewolnicą, nie wie
co w Anglji jest prawnem lub nie; ja kaza-
łem jej to uczynić, musiała być posłuszną.
Jeżeli stała się występna, ja tego żądałem!

JONI.

Alfonsie! (*rzuca się do jego nóg*)

A L F O N S.

Patrzcie, dowód posłuszeństwa; leży u nóg
moich kiedy tego chcę, więc i posłuszną być
musiała kiedy rozkazałem rozbić to biurko.

JONI. (*wstając*)

Rozdzierasz serce. •

S E D Z I A.

Panie Alfonsie!

A L F O N S.

Cóżby ją mogło do kradzieży zachęcić, kiedy cały mój majątek do niej należał? Dziś jeszcze zwróciła mojemu ojcu pudelko z drogiemi kamieniami; nie zna więc chciwości. Wszystkie cnoty są w niej połączone, a kto ją posądza o tak obmierzły występek, ten znieważa anielską istotę, i mnie znajdzie w jej obronie.

M A J O R.

Alfonsie!

L O R D.

Synu!

J O N I.

Ukryj to zabójcze narzędzie! wiesz że miłość częstokroć zwycięża niepodobieństwa! Zaklinam cię na twoją i moją miłość, umiarkuj się! Alfonsie, (*wskazując sędziego*) ten zacny człowiek jest moim przyjacielem, idę z nim do jego domu, on będzie moją obroną i opieką.

ALFONS. (*odciaga ją*)

Nie, ani kroku z tąd...

J O N I.

Zaufaj jego sercu, w niem niewinność naj-
pewniejsze znajdzie schronienie. (*prosząc*)
Pozwól mi iść za nim, i twoje prawa do mnie
przelej na niego.

A L F O N S.

Nie, nie nie pruczę ślepemu losowi! Chcę
dzielić z tobą szczęście i cierpienie, niech i
mię prowadzą do więzienia! Jeszcze raz po-
wtarzam, co Joni uczyniła, uczyniła na mój
rozkaz. Ja jestem przestępcą, czyńcie waszę
powinność.

SĘDZIA. (*po krótkim namyśle*)

Niech ich oboje zaprowadzą do więzienia.

Ż U C J A.

Nie, nie, tego nie przeżyję! Panie! Moje
oskarzenie było fałszywem.

S Ę D Z I A.

Już za późno! Milady! kradzież popełniona,
smutna powinność nakazuje mi wykryć pra-
wdziwych sprawców zbrodni.

A L F O N S.

Nie słuchaj jej panie! Ja nim jestem!

J O N I,

Sprawiedliwy sędzio, nie słuchaj głosu
wspaniałomyślności i przywiązania bez granic.
Przy mnie znaleziono pugilares; przy mnie
500 funtów szterlingów.

SEŃDZIA. (*mówił z lordem przez chwilę*)

Oboje się obwiniają, niech ich zaprowa-
dzą do sali sądowej, natychmiast za wami po-
spieszę.

J O N I.

Milordzie! nie pozwalaj na to... honor two-
jego domu, twojego syna!

SEŃDZIA. (*spokojnie*)

Muszą uleść prawu.

A L F O N S.

Pójdź Joni.

ŁUCJA. (*z żalem i wstydem*)

Nie, tego za wiele! Nim zaprowadzą Alfon-
sa do więzienia, życie sobie odbiorę. Panie...
przebacz... nieuważnie, fałszywie wykonałam
przysięgę... jestem kobietą... nie wiem... czy
pięćset funtów szterlingów było w pugilare-
sie... a jeżeli były, należały do lorda.

L O R D.

Czy Keb!r był jeszcze, kiedy Aurelji dałaś pugilares?

LUCJA. (*pomieszana*)

Zdaje mi się że był.

L O R D.

A więc Joni uratowana. Znam serce Aurelji! Panie. Joni jest niewinną.

W S Z Y S C Y.

Niewinną!

L O R D.

Poszlście jak najprędzej, w ślady Aurelji, za murzynem. Ona pewno oddała Kebirowi te 500 fuutów szterlingów.

R O B E R T;

Milordzie, przed pół godziną widziałem go w domu pocztowym oczekiwał wyjazdu londyńskiej poczty.

S E D Z I A . e

Spiesz jak najprędzej po niego.

Ł U C J A.

Słabo mi; nie wezmą mi panowie za złe, że się oddalę. (*odchodzi*)

L O R D. (*z gniewem*)

Idź milady i żałuj za twoje grzechy. Pośląc po Aurelję.

M A J O R.

Już rozkazałem przez konnego posłańca uwiadomić ją o wszystkim, i oczekuję co chwila jej powrotu.

SCENA VII.

POPZEDZAJĄCY, AURELJA.

A U R E L J A.

Gdzież ona jest? (*sposzrzega Joni irzuca się w jej objęcia*) Kochana Joni! Jakież podejrzenie z mojej winy rzucono na ciebie! Możesz mi przebaczyć?

J O N I.

Pani!...

AURELJA. (*do sędziego*)

Pięćset funtów szterlingów które były w tym pugilaresie dałam murzynowi Kebir, bo je mi lord dla niego przeznaczył. Moja ciotka odebrała pugilares bez pieniędzy.

S Ę D Z I A.

Czy przysięgniesz na to pani?

A U R E L J A.

Na Boga i pokój duszy przysięgam: że to co powiedziałam jest prawdą! Nie mogę przenieść tego na sobie, aby tak ohydne podejrzenie

choć przez jedną chwilę obciążało narzeczoną
mojego dobroczyńcy.

A L F O N S.

Dobra Aureljo!

SCENA VIII I OSTATNIA

SŁUŻĄCY, KEBIR, POPRZEDZAJĄCY.

S Ł U Ż A C Y.

Oto jest murzyn.

S E D Z I A.

Nie lękaj się, czy masz pieniądze przy sobie.

KEBIR. (*z trwogą*)

Pięćset funtów szterlin.. ale...

S E D Z I A.

Pokaż je.

KEBIR. (*podając*)

Oto są.

S E D Z I A.

Pięć biletów każdy po 100 funtów szterlingów. Zkąd je masz?

K E B I R.

Dostałem je w pugilaresie od milorda; ale milady mi je odebrała oddając pannie Aurelji, aby je zwróciła milordowi. Skoro Milady wyszła z izby, panna Aurelja wyjęła pieniądze z pugilaresu, oddała mi i kazała uciekać.

A U R E L J A.

To jest istotna prawda. Oboje przysięgniemy na to.

K E B I R.

Gotów jestem.

S E D Z I A.

W Imię Boga i praw oświadczam: że oskarżenie jest nieważnem, a Joni niewinną. (*radość powszechna*)

JONI. (*stoi spokojnie*)

SĘDZIA. (*do murzyna*)

Odbierz swoją własność i idź z Bogiem!... Miss Joni udowodniwszy swoją niewinność, możesz podług praw Angielskich żądać zadosyć uczynienia...

J O N I.

Na zadosyć uczynienie niech mi wolno będzie odjechać gdzie mi się podoba.

S E D Z I A.

Któż może się temu sprzeciwić?

A L F O N S.

Miłość moja.

A U R E L J A.

Twoje własne serce.

J O N I.

Pani, miej litość nademną, milordzie, pozwól mi oddać się.

A L F O N S.

Wszędzie pójdę za tobą. Czy nad Tamizą czy nad Mojenbą musisz zostać moją żoną. Ty każdą puszcę zmienisz dla mnie w kwitnącą okolicę, nie odstąpię cię nigdy, śmierć tylko może mię na przyszłość oderwać od twojego boku.

J O N I.

Któż mię wesprze? Milordzie, pragnę odjechać!

L O R D.

Dobrze Joni, odjedziesz, ale nie pierwój, aż moja rodzina wydarty ci honor wróci. Alfonsie podaj jej rękę.

A L F O N S.

Ojczy! *(biegnie do Joni i ściskając ją)* Ah Joni!

J O N I.

Boże! milordzie! co czynisz?

L O R D. *(łącząc ich ręce)*

Nie zważam na koler twarzy, łączę dwie istoty, które miłość i Opatrzność dla siebie przeznaczyły.

ALFONS. (*całuje ją*)

Tém pierwszym pocałowaniem witam cię jako moją małżonkę. Pójdź do mojego serca.

L O R D.

Joni, córko moja!

(*Joni rzuca się w objęcia ojca, a potem szelzami do nóg Alfonsa*)

W twojej mocy wynieść niewolnicę do godności żony.

A L F O N S.

Joni! (*podnosząc ją*) Żono, droga żono!

K O N I E C.

KAROLINA

CZYLI

ŹLE DOBRANE

MAŁŻEŃSTWO,

DRAMA W CZTERECH AKTACH

tłumaczona z Francuzkiego

P. Ancelot.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

NA WIELKIM TEATRZE

dnia 22 Października 1833 roku.

O S O B Y.

ARTUR d'AIGLEMONT	JP. <i>Piasecki.</i>
DE MONVAL	JP. <i>Bogusławski.</i>
BERTRAND, ojciec KAROLINY	JP. <i>Kudlicz.</i>
PIOTR MOULIN, kuzyn KA- ROLINY	JP. <i>Swiergocki.</i>
HRABINA d'AIGLEMONT	JPi. <i>Żółkowska.</i>
BARONOWA d'ALBY	JPi. <i>Kurpińska.</i>
KAROLINA BERTRAND	JPa. <i>Palczewska.</i>
PANI DUTOUR, jej kuzynka	JPi. <i>Jankowska.</i>
Pokojowa	JPa. <i>Bońkowska.</i>
Służący	

(*Rzecz dzieje się w Paryżu i o kilka mil od
niego*)

KAROLINA.

AKT I.

(Teatr przedstawia salon w pałacu Hrabiego d' Aiglemont. Stolik po prawej, biurko po lewej. Drzwi w głębi i boczne.)

SCENA I.

BARONOWA D'ALBY, HRABINA D'AIGLEMONT,
HRABIA ARTUR D'AIGLEMONT.

(siedzą przy stoliku i jedzą śniadanie)

H R A B I N A.

Kochana baronowo, po trzech dniach i trzech nocach utrudzającej podróży, nie utraciłaś twojej świeżości.

B A R O N O W A.

Widząc was znowu zapominam o utrudzeniu...

H R A B I N A.

Po tej podróży do Nice śmiało możesz nie zważać na zimę w Paryżu ze wszystkimi jej balami, zabawami, i aby być towarzyszką młodej wdowy tak pięknej, trzeba się było wyrzec jak ja wszelkiej chęci podobania się, i powiedzieć sobie, że jestem już stara.

B A R O N O W A.

Bardzo się pospieszyłaś Hrabino.

H R A B I N A.

Tym sposobem pozyskałam przyjaźń wielu młodych kobiet; i poznawszy ich sposób myślenia, łatwo mi będzie wybrać żonę dla mojego syna, nie prawdaż Arturze?

A R T U R.

Moja matko...

H R A B I A.

Tak, czas ażeby osoba przyjemna i młoda przybyła ożywić to ciche ustronie. Każdy dzień unosi z sobą coś z wesolości mojego charakteru, a ty Arturze jesteś pełen powagi czasu.

B A R O N O W A.

Więc aby dzisiejszy poranek przeminał wesoło, jedźmy do lasku bulońskiego, potem pozwolicie mi wstąpić do kilku magazynów; o ca-

Je trzy miesiące pozostałam za modą! Piętnaście dni najmniej nie będę się mogła ukazać w salonach... Pod czas tej przymuszonej reformy będziemy czytać, zajmujemy się muzyką; chcę poznać cały obecny bieg rzeczy, bo posukniach Wiktoryny i tokach p. d' Herbaut, dowcipowi i talentom jeszcze najlepiej powodzi się na świecie. (*do Artura*) Pannie odmówisz nam swojego towarzystwa.

A R T U R.

Przebacz pani! ale dzisiaj nie mogę dzielić tej przyjemności. (*wstają*)

H R A B I N A.

Arturze, któż są ci nowi przyjaciele z którymi bawisz nieprzestannie? Chciałżebyś mój synu usuwać się od dobrego towarzystwa?

A R T U R.

Czyliż istotne moje miejsce ma być wśród grona osób lekkomyślnych, zajętych polowaniem, końmi i modą? Matko, czyliżbyś to za błąd we mnie uważała, gdybym się zbliżał do ludzi może niższych przez majątek ale wzniesionych przez swoje uczucia.

H R A B I N A.

Wierz mi Arturze, że samo tylko przywią-
zanie...

A R T U R.

Kochana matko, zaufaj naukom jakie od cie-
bie odebrałem, i usiłowanion: jakie mam za-
wsze aby się tobie podobać. Tego rana mam
niektóre zatrudnienia, ale wkrótce powrócę.

SŁUŻĄCY. (*wchodząc*)

Pani Dutour zapytaie czy pani nie raczy
obejrzeć niektórych przedmiotów przez nią
przyniesionych.

ARTUR. (*n. s.*)

Pani Dutour! wyjdźmy! (*głośno*) pozwo-
lą mi panie oddalić się... (*wychodzi*)

SCENA II.

BARONOWA, HRABINA.

BARONOWA. (*do Hrabiny*)

Proszę cię, każ jej wejść; mam tyle spra-
wunków.

HRABINA. (*do służącego*)

Niech wejdzie. (*do Baronowej*) Polecam ci
panią Dutour, jej rodzina szczególniej mię zaj-
muje.

B A R O N O W A.

Dosyc mi na tém. Ale dla Boga hrabino jak też twój syn się odmienil.

H R A B I N A.

Wiesz, że on zawsze był poważnym.

B A R O N O W A.

Prawda; ale dziś jest niespokojnym, zamysłonym.

H R A B I N A.

Wzruszenia miłosne podobne są często do niespokojności.

B A R O N O W A.

Miłość?.. być może! ale zapewne nie dla mnie.

H R A B I N A.

Mylisz się moja Anielo; miłość, nadzieję, życzenia, wszystko mi powierzył kiedyś została wolną. Bądź pewną, że Artur cię kocha.

B A R O N O W A.

Pozwolisz mi przynajmniej abym nie odpowiedziała, dopóki on mi sam tego nie wyzna.

SŁUŻĄCY. (*wchodząc*)

Pani Dutour.

SCENA III.

BARONOWA, HRABINA, P. DUTOUR. (*niosąc pudła*)

H R A B I N A.

Proszę pani Dutour; oto młoda dama, która potrzebuje wielu sprawunków; już jej powiedziała ile mię twój los zajmuje.

P. D U T O U R.

Pani hrabina bardzo łaskawa, oddawna już raczyła wydać wyrok o moim talencie, dla tego też wszystko co mam najswieższego natchniast tu przynoszę. Kupuję, sprzedaję, i każdy przyzna, że co się tyeze gorsetów, uczeiwości i różu, pani Dutour nic nie zostawia do życzenia.

H R A B I N A.

Jakże się ma twoja kuzynka Karolina Bertrand, czy już zupełnie uleczona?

P. D U T O U R.

Powinna nią być przynajmniej; chciałabym mieć te pieniądze co za lekarstwa zapłacono! Moze się pochlubić, że miano o niej wielkie starenie!.. Doktor który przyjeżdżał karyklem, i syn pani hrabiny który płacił za wszystko.. Wypadek bardzo szczęśliwy dla rodziny.

BARONOWA. (*do Hrabiny*)

Cóż to znaczy?

H R A B I N A.

Przed szczęścią tygodniami, moj syn jechał przez ulicę Sgo Honorjusza w tilbury, koń angielski niezmiernie żywy... Młode dziewczę (ci ludzie chodzący pieszo, są tak nieuważni) przesuwa się właśnie w chwili gdy koń rzucił się...

B A R O N O W A.

Oh Boże!...

H R A B I N A.

Szczęściem Artur wstrzymał go z taką szybkością, że ledwie się jej dotknął; jednakże upadła i przypadkiem w jej piersiach, jak mówiono, jakiś nerw został naruszony, co przez niejaki czas kazało się lękać o jej życie.

B A R O N O W A.

Biedna!... ale już jest uleczoną?

P. D U T O U R. e

Dziś ma wyjść pierwszy raz, i zapewne przyjdzie podziękować pani hrabinie... Bo podczas jej choroby nie wolno jej było mówić ani słowa!.. litowałam się nad nią; czyż może

być większa przykrość dla kobiety jak milczenie. Szczęściem dla niej, że czasami wieczorem opowiadałam jej nowości naszego przedmieścia. A potem mówiono mi, że p. hrabia przychodził codziennie, ja go nie widziałam ani razu, gdyż interessa mojego handlu nie dozwalały mi bywać w tych samych godzinach, i to mię mocno martwi, pragnęłam bowiem poznać syna pani hrabiny, tak dobrego, tak tkliwego!... Nakoniec, to rozrywało nieco nudy mojej kuzynki; bo my ubodzy ludzie nie przyzwyczajeni jesteśmy do próżnowania.

BARONOWA. (n. s.)

Hrabia codziennie przychodził. (głośno) Czy ładna?

P. D U T O U R.

Familijna piękność... a w Bertrandach (gdyż i ja jestem Bertrandówną z domu) płynie krew bardzo piękna. Chociaż jest tylko szwaczką i igła całym jej majątkiem, już ubiegano się o jej rękę, i sądzę że ma jakąś skłonność do Piotra Moulin, syna chrzestnego Bertranda.

B A R O N O W A.

Tak sądzisz?

P. D U T O U R.

Niezawodnie: ale ten biedny chłopiec dopiero wczoraj przybył z miejsca gdzie się odbywało losowanie do wojska i miał to nie-szczęście że wyciągnął numer pierwszy. Nie jest wstanie dać zastępcy, gdyby ojciec Bertrand mógł!... to małżeństwo bardzo mu przypadło do serca!.. on co tak kocha swoją córkę.... Ale stary sierżant, mający tylko wysłużoną płacę, i dwieście pięcdziesiąt franków za krzyż... nie wielka to summa... A czekać też aż Piotr wysłuży swoje lata, trochę za długo dla młodzieży.

H R A B I N A.

Mam pewną myśl... zaspokój twoją kuzynkę, jej narzeczony nie pojedzie.

P. D U T O U R.

Jakże będzie szczęśliwa!

B A R O N O W A.

Pani Dutour, te trzy sztuki wstażki, 10 tuzinów rękawiczek białych i wszystkie inne przedmioty, każ zanieść do mojego pokoju.

P. D U T O U R.

Ja sama zaniosę.

H R A B I N A.

Pamiętaj o mojem zleceniu względem twojej kuzynki.

P. D U T O U R.

Nie zapomnę pani hrabino, nie zapomnę. Ach ileż wdzięczności! Ojciec Bertrand w ogieńby wskoczył dla pani, a dla p. hrabiego który był jego dowódcą... gdyż dopiero od pięciu lat Bertrand opuścił służbę, był sierżantem w artyllerji. Mój Boże jak się to wszystko znowu znajduje... Panie już niczego więcej nie potrzebują?.. Mam zaszczyt złożyć moje uszanowanie....

B A R O N O W A.

Bądź zdrowa pani Dutour.

P. D U T O U R. *(odchodzi drzwiami na prawo)*

SCENA IV.

BARONOWA, HRABINA.

H R A B I N A.

Jestżeś już gotową? jedźmy kochana baronowo.

BARONOWA. *(zamyślona)*

Już późno, jestem znużoną; odłożmy nasz spacer do jutra.

H R A B I N A.

Jak ci się podoba.

BARONOWA. (*n. s.*)

Codziennie do niej przychodził.

SŁUŻACY. (*wchodząc*)

Młoda panienska i stary wojskowy, przypro-
wadzeni przez p. hrabiego, proszą o pozwole-
nie wejścia.

H R A B I N A.

Zapewne Karolina ze swoim ojcem. Niech-
wejda.

B A R O N O W A.

Ah! (*n. s.*) zobaczę ją..

SCENA V.

BERTRAND, KAROLINA, ARTUR, HRABINA,
BARONOWA,

ARTUR. (*n. s. wchodząc*)

Baronowa jeszcze tu! (*głośno*) Przedstawiam
mojego dawnego towarzysza broni, i jego cór-
kę, której moja nierostropność o mało śmier-
ci nie stała się powodem. Już chciałem od-
dawna moja matko przedstawić ci ją, lecz
dziś pierwszy raz dopiero wyszła. (*podając*
jéj krzesło) Proszę siedzieć.

KAROLINA. (*poruszeniem daje poznać, że nie księdzie*)

BARONOWA. (*n. s.*)

Jak uprzedzający!

H R A B I N A.

Ciesz się mi bardzo, że już jesteś zdrowszą.

B E R T R A N D.

Teraz jest zdrowszą jak dawniej była, dzięki staraniom mojego dowódcy.

A R T U R.

Matko moja, jemu winienem ocalenie życia, ten mężny Bertrand, odebrał ułamek granata który do mnie miał należeć.

B A R O N O W A.

Czy boli uderzenie ułamku granata?

A R T U R.

To często śmierć zadaje.

H R A B I N A.

Bardzo pięknie, panie Bertrandzie.

B E R T R A N D.

Na słowo, na mojem miejscu wybyście to samo uczynili; granat pada w baterji przy nogach dowódcy; mówię sobie: jeżeli dowódca zginie któż będzie dowodził baterją? gdy tymczasem jeżeli ja zginę, znajdzie się tyłu

innych do celowania. Dla tego też rzucam się na mojego dowódcę, zasłaniam go sobą i skam w mojem objęciu jak własnego syna.

A R T U R.

I miałeś nogę strzaskaną.

B E R T R A N D.

Ba! i cóż ztąd.. naprawili ją... i chodzi... prawie tak jak dawniej...

A R T U R.

Ależ cierpienie...

B E R T R A N D. -

Ocalilem mojego dowódcę, i kiedy leżąc na ziemi krwią obłany widziałem, że mój dowódca celuje za mnie... nic już nie bolało.

H R A B I N A.

Czy tylko masz jedną córkę panie Bertrandzie?

B E R T R A N D.

To całe moje dobro.

A R T U R.

Nie spodziewałaś się matko przyjemności którą ci panna Karolina przygotowała; ta zasłona własną jej ręką haftowana.

B E R T R A N D.

Leżąc w łóżku pracowała nad nią; mówiłem jej nie raz: Karolino, tobie to zaszkodzić

może! odpowiadała: Mniejsza, to dla matki pana Artura.

KAROLINA. *(podając zasłonę)*

Jeżeli pani Hrabina przyjąć raczy?...

H R A B I N A.

W istocie bardzo ładna. *(do Baronowej)* patrz tylko.

B A R O N O W A.

Prześliczna! ten haft wiele czasu potrzebował...

ARTUR. *(do Karoliny z tkliwém zajęciem)*

Zapewne cię utrudzała ta praca?

K A R O L I N A.

Nie; kiedy mam zatrudnienie nie myślę o smutku.

B A R O N O W A.

O smutku!.. zapewne wtenczas kiedy pana Artura nie było?

K A R O L I N A.

Tak jest, bo on widząc mię był zawsze tak wesołym.

B A R O N O W A.

Ah!...

H R A B I N A. *(podczas poprzedniej rozmowy otworzyła biurko i włożyła kilka biletów bankowych w pugilares)*

Weź to moje dziecko, proszę przyjmij na pamiątkę.

KAROLINA. (*biorąc pugilares*)

Oh, pani jest na mnie tak łaskawa!.. Jaka piękny! (*otwiera go i postrzega bilety*) Ah! pani, nie, ja tego przyjąć nie mogę.

ARTUR.

Cóż to?

HRABINA.

Zatrzymaj go moja kochana, zatrzymaj.

KAROLINA.

Nie, pani ja tego nie chcę. (*z płaczem*)

ARTUR.

Placzesz?.. cóż ci to jest?

KAROLINA.

Patrz, panie Arturze, patrz!

ARTUR.

Pieniądze!.. ah matko moja, cóżeś uczyniła?

KAROLINA.

Nie, pani, nie!.. jestem wdzięczna za jej łaski; ale tego przyjąć nie mogę. (*wyjmuje bilety z pugilaresu i oddaje Hrabinie*) Tę pamiątkę przyjmuję. Chciałam się tylko przypodobać pani i zasłużyć na jej względy; ale zapłaty nie chcę.

HRABINA.

Ale dziecko jesteś...

B A R O N O W A.

Oh nie, bynajmniej, to są uczucia heroiczne!.. Panie Arturze, panna Karolina protegowana przez ciebie jest bardzo ładna!.. Muszę was opuścić... Zegnam.

H R A B I N A.

Tak prędko. Arturze, czy nie odprowadzisz baronowej?

A R T U R.

Ah proszę mi wybaezyć....

B A R O N O W A. (*śmiejąc się*)

Nie, nie, nie chcę przeszkadzać; wyrzuciłabym sobie.... nie chcę wcale.. niech pan zostanie... (*wychodzi*)

B E R T R A N D.

No moje dziecię już późno, pożegnaj panią hrabinę i dalej w drogę, nim się zmierzchnie.

A R T U R.

Mój powóz odwiezie, a jeżeli pozwolisz, będę wam towarzyszył; mam właśnie w tamtej stronie odwiedzić....

H R A B I N A

Mój synu, pragnę pomówić z tobą.

K A R O L I N A.

Panie Artur, my pójdziemy pieszo; już jestem zdrowa.

A R T U R.

Przynajmniej, sprowadzę cię ze schodów,
panno Karolino.

K A R O L I N A.

Matka pana chce z nim mówić.

A R T U R. *(do hrabiny)*

Natychmiast powrócę.

SCENA VI.

H R A B I N A. *(sama)*

Prawdziwie, postępek godny śmiechu!.. Jak to... dla baronowej najmniejszej grzeczności jak gdyby była dla niego zupełnie obojętną!. Ah, ta młoda Karolina bardzo ładna?... spoglądał na nią z takim wzruszeniem... Jest wiele przykładów podobnych; szaleństw... Oh nie!., to niepodobna!.. szwaczka!.. bez wychowania!..

SCENA VII.

H R A B I N A, A R T U R.

A R T U R.

Jak ona jest piękną, prawda moja matko?.

H R A B I A.

Tak, nie szpetną... Ale jakżeś ty był ozię-

błym z baronową. Arturze, przypomnij sobie
com ci mówiła przed trzema miesiącami wzglę-
dem baronowej.

A R T U R.

Cóż takiego?

H R A B I N A.

Że to jest żona jakiej ci potrzeba.

A R T U R.

Żona!

H R A B I N A.

Wtenczas zdawałeś się być mocno nią za-
jęty.

A R T U R.

Ja zawsze ją znajduję bardzo przyjemną,
ale...

H R A B I N A.

To jest wyborna partja!

A R T U R.

Nasz sposób myślenia nie zgodny...

H R A B I N A.

Arturze!

A R T U R.

Matko!

H R A B I N A,

Nie poznaję cię; byłżebyś ty zakochany?

A B T U R.

Zakochany?.. ja?

H R A B I N A.

Może ta młoda dziewczyna zajęła twoje serce?

A R T U R.

Czyliżby nie była godną miłości?

H R A B I N A

Nie myślisz przecie wziąć ją za żonę?

A R T U R.

Wyznaję, że jeszcze nie zwrócił uwagi na przyszłość, lecz gdybym znalazłszy w kobiecie cnoty, i najdroższe przymioty serca, przestał na tém, i mój los z jej losem połączył, byłoby to tak wielkim nierozsądkiem?

H R A B I N A.

Hrabia d'Aiglemont połączyć się z szwaczką?...

A R T U R.

Co słyszę, i ty moja matko, której roznem sama prawda oświeca, mogłażbyś ulegać przesądom?

H R A B I N A.

Ale na Boga, wychowanie tej dziewczyny, bardziej jak urodzenie, oddziela ją od ciebie. Kochany Arturze wierz twojej matce. Karolina nie ma ani twojego sposobu myślenia, ani obejścia, a w związku tak blizkim, ta różnica dałaby się uczuć co chwila.

A R T U R.

Jój serce tak szlachetne!

H R A B I N A.

Będzie ci przyjemnie mieć teściem swoje-
go sierżanta?

A R T U R.

To jest najuczciwszy człowiek w świecie.
Prócz tego, czyliż różnica stanu, ma zagra-
dzać szczęściu mojemu. On mi życie ocalił,
on na śmierć się naraził, nie zważając, że hra-
biego ocala...

H R A B I N A.

Mój synu, nie mówmy już więcej o tém,
i nie zapominaj, że gdybyś kiedykolwiek chciał
uledz twoim romansowym myślom, przywią-
zanie moje ku tobie wskaże mi jako świętą
powinność oprzeć się twoim chęciom.

A R T U R.

Matko moja!..

H R A B I N A.

I cóż?

A R T U R.

Mam lat 25.

H R A B I N A.

Przedziwnie mój synu... rozumiem... dodaj
jeszcze i to, że masz prawo wypędzić matkę
z tego domu, który do ciebie należy, gdyż ja

twojemu ojcu, tylko zaszczytne urodzenie przyniosłam w posagu.

A R T U R.

Oh, matko! cały mój majątek jest twoim.

H R A B I N A.

Nie, nie chciałabym nic od ciebie; opuściłabym ten dom, przenosząc raczej nędzę i pozbawienie się wszystkiego, nad towarzystwo szwaczki, którybym corką moją nazywać musiała.

A R T U R.

Matko, nie udręczajmy się przed czasem myśląc o przyszłości tak niepewnej jeszcze.

H R A B I N A.

Dobrze mówisz Arturze, nie myślmy o tem więcej; ty nigdy nie zapomnisz, że całe szczęście mojego późnego wieku, spoczywa na szlachetności twoich uczuć.

A R T U R.

Do widzenia, droga matko. *(całuje jej rękę i wychodzi)*

SCENA VIII.

HRABINA. *(sama)*

Nie ma ani jednej chwili do stracenia, nic

go wstrzymać nie zdoła, kiedy raz co przedsięwzięnie. Uchrońmy go od jego dziwactwa, to jest najlepszy sposób, (*siada przy stole i pisze*) odejmując mu wszelką nadzieję... (*dzwoni, służący wchodzi.*) Zanieś te listy podług adresu i to jak najprędzej.

SCENA IX.

PIOTR, BARONOWA, (*śmiejąc się głośno*)

HRABINA.

BARONOWA.

Ah! ah! ah!.... Ah! gdybyś wiedziała co mi się wydarzyło.

HRABINA.

Nic smutnego jak się zdaje, ale któż jest ten obcy?

BARONOWA.

On nie ma zwyczaju kazać się anonować. Przed chwilą zajęta byłam ubiorem, wtem słyszę kogoś idącego ku mnie, przestraszona odwracam się, i spostrzegam tego młodego człowieka, który przypatrzywszy mi się od stóp do głów, zapytuje czy z panem hrabią d'Aiglemont ma zaszczyt mówić.

PIOTR.

Przebaczcie mi państwo... Zbłądziłem; ale

mi często zdarzają się podobne wypadki.... Nie moja wina, ja się urodziłem tak nieszczęśliwym, że sobie państwo wyobrazić nie możecie.

H R A B I N A.

Czegoż chciałeś.

B A R O N O W A.

Protekcji hrabiego Artura; ale w tej okoliczności moja przydatniejszą mu będzie. Jest to narzeczony Karoliny Bertrand.

H R A B I N A.

Narzeczony Karoliny!

P I O T R.

Kiedy ja mówię narzeczony, to się ma rozumieć, że przed sześciu miesiącami ja chciałem być narzeczonym, i ojciec Bertrand chciał także; ojciec Bertrand trzymał mię do chrztu; ale już jest nowy narzeczony, a to wcale nie pięknie!

H R A B I N A.

Jako! ty wiesz?

P I O T R.

Wiem... wiem że jestem tak nieszczęśliwy, że byłem najnieszczęśliwszym z całego okręgu; ja wyciągnąłem numer pierwszy; nie chybiłem!

B A R O N O W A.

Oh! gdyby to tylko było!...

P I O T R.

I tego dosyć, ja sędzę! Popisowy! śliczna partja... piękny tytuł dla żony... Pani popisowa..... Jak mówił ojciec Bertrand, gdybym tylko był sierżantem.... tak, ale zostawić swoją narzeczoną w Paryżu, a jeszcze mnie, cóm się pod nieszczęśliwą gwiazdą urodził.

B A R O N O W A.

Biedny chłopiec!

P I O T R.

Oj to prawda! A przypadek Karoliny nie jestże dalszym ciągiem moich nieszczęść, właśnie w ten dzień wydarzyć się musiał, kiedym odjechał do miejsca mojego urodzenia, odjechał piechoto!... 143 mil, i po co, aby wyciągnąć numer pierwszy, warto się było trudić. Nakoniec ojciec Bertrand mi powiedział, że p. hrabia d'Aiglemont zajmuje się dobroliwie losem naszej rodziny; i przychodzę prosić go... ale on podobno wyszedł.

H R A B I N A.

Pociesz się, jeszcze nie wszystko stracone; możesz jeszcze zaślubić Karolinę.

P I O T R.

Co! Mogłoby to być? Ja myślę żebym owarjował z radości; tak ją kocham!

B A R O N O W A.

A ona czy kocha cię także?

P I O T R.

Ah co tego to nigdy nie jesteśmy pewni, ale ona bardzo dobra dziewczyna, i jej mąż..

H R A B I N A.

Kiedy tak, ja zapłacę zastępcę, a potem nie odmówię wam na gospodarstwo....

P I O T R.

Co, doprawdy pani, nie żartuj ze mnie! W głowie mi się miesza... ja, który zawsze byłem tak nieszczęśliwy... ponieważ pani powiedziałaś mi....

H R A B I N A.

Wierzaj mi dobry Piotrze, powtarzam ci, że pragnę połączyć cię z Karoliną.

P I O T R.

A więc teraz jestem odnieszczęśliwiony.

H R A B I N A.

Ale trzeba ażeby to małżeństwo zawarło się bez zwłoki.

P I O T R.

Ja gotów i natychmiast.

SŁUŻĄCY. (*meldując*)

Panna Karolina Bertrand!

P I O T R.

Karolina!

SCENA X.

PIOTR, BARONOWA, KAROLINA, HRABINA.

K A R O L I N A.

Pani hrabina kazała mi przyjść.

H R A B I N A.

Tak moje dziecię, wejdź bez obawy, zajmuję się twoim losem.

B A R O N O W A.

Pani hrabina niszczy wszelkie przeszkody sprzeciwiające się twojemu połączeniu z tym młodym człowiekiem.

K A R O L I N A.

Cóż to się znaczy?

P I O T R.

Oh!.. tego się nie spodziewała... jak ją zajęło.... Posłuchaj więc panno Karolino....

K A R O L I N A. (*drżąca*)

Pani hrabina....

H R A B I N A.

Uspokój się. A ty Piotrze, spiesz wyszukać zastępcy, i wracaj jak najprędzej.

P I O T R.

Idę pani hrabino, ale....

H R A B I N A.

Idźże...

P I O T R.

Idę, idę. (*n. s. odchodzi*) Chciałem jednakże pomówić z panną Karoliną: ona się coś nie bardzo cieszy... czyby znowu nieszczęście. (*na dany znak hrabiny*) Biegnę, leczę. (*odchodzi oglądając się*)

SCENA XI.

BARONOWA, KAROLINA, HRABINA.

K A R O L I N A.

Pani hrabina jest dla mnie bardzo łaskawa, ale ja nie chcę iść za męż.

BARONOWA. (*n. s.*)

Zgaduję.

H R A B I N A.

Jakąż masz przyczynę?

K A R O L I N A.

Przyczynę? ja nie mam żadnej: ty!ko nie chcę iść za męż, i nigdy nie pójdę.

H R A B I N A.

Moje dziecię, pragnę twojego szczęścia, Piotr ma postać uczciwego człowieka, i przyrzekam ci, że z nim złączona, nie doznasz

niedostatku; zapewnię przyszłość waszą i twojego starego ojca.

KAROLINA.

Mojego ojca?.. praca moja wystarczy na jego utrzymanie.

SŁUŻĄCY.

Notarjusz wezwany przez panią hrabinę!

HRABINA.

Niech zaczeka w moim gabinecie. (*służący wychodzi*) Ty Karolino zostań tutaj, zastanów się nad mojem przełożeniem, i bądź pewną, że pożałowałabyś później gdybyś uległa jakim nierozważnym myślom. Mam nadzieję, iż za powrotem znajdę cię rozsądniejszą. (*do Baronowej*) Pomów z nią moja baronowo.

SCENA XII.

(*Karolina oddala się od Baronowej i zdaje się chcieć wyjść*)

BARONOWA. (*n. s.*)

Ładna.. ale bez ułożenia.. i dla tej szwaczki chciałby mię poświęcić!.. Zobaczą czy przynajmniej posiada jakie ukształcenie. (*głośno zbliżając się do Karoliny*) Mościa panno, dla czegoż oddalasz się odemnie? Pomówmy ze

sobą chwilę; myślę, że ojciec twój dał ci wychowanie stan twój przewyższające?

KAROLINA.

Mnie? o mój Boże! nie pani.

BARONOWA.

Jakto nic się nie uczyłaś?

KAROLINA.

I owszem; uczyłam się czytać, pisać, potem szyc i haftować.

BARONOWA.

Ale w chwilach wolnych od pracy, czyta-
nie...

KAROLINA.

Nie miałam na to czasu.

BARONOWA.

Ah!... a więc cały czas odwiedzin hrabiego
d' Aiglemont, upływał na wyznawaniu uczuć
miłości.

KAROLINA.

Któż to pani mógł powiedzieć?

BARONOWA.

To się łatwo zgaduje. I jakąż masz na-
dzieję?

KAROLINA.

Ja, pani, ja nie mam żadnej nadziei.

BARONOWA.

Słusznie czynisz... Dla czegoż więc odrzu-
cać zamężcie stosowne?

Tom X.

15

KAROLINA.

Bo nie kocham tego którego mi chcą dać.

BARONOWA.

Rozumiem... biedny Piotr, mogłby ci ofiarować tylko los skromny, a ten nie wystarcza twoim chęciom. Rumieniłabyś się teraz zostając żoną rzenieślnika.

KAROLINA.

Ja, rumienić się!..

BARONOWA.

Bezwątpienia; odzież prosta byłaby całątwoją ozdobą; on nie mógłby ci dać ani klejnotów, ani wykwintnego stroju...

KAROLINA.

To wszystko nie dla mnie. Pani wiesz, że ja tylko z pracy utrzymać się mogę.

BARONOWA.

A miłość hrabiego?

KAROLINA.

Cóż pani przez to rozumie?

BARONOWA.

Cóż naturalniejszego? hrabia jest bogaty, wspaniały...

KAROLINA.

Ah, pani!...

BARONOWA.

Cóż to, płaczesz?.. Nie chcę cię zasmucać; mówię tylko co wszędzie mówią.

K A R O L I N A.

Co słyszę?.. mogłizby sądzić...

B A R O N O W A.

Powiedz mi szczerze, cóż chcesz aby myślanco? Znają hrabiego d' Aiglemont; młody, przyjemny, prędko do zakochania się, ale jeszcze prędszy w odmianie miłości; widzą go przepędzającego dnie całe u pięknej dziewczyny ośmnastoletniej, i chciałażbyś aby wierzono, że te odwiedziny są w niewinnej myśli!...

K A R O L I N A. (n. s.)

Ah, cóżem usłyszała?.. Nieszczęśliwa!.. nigdy mi to na myśl nie przyszło... ona prawdę mówi,..

B A R O N O W A.

Połączenie się z Piotrem ocaliłoby cię od dotkliwych cierpień.

K A R O L I N A.

Ah pani, ta rada...

B A R O N O W A.

Podana 'głosem najszczęśliwszego zajęcia się twoją przyszłością. Chwila odwagi oszczędzi wiecznych trosk i cierpień i uchroni twojego ojca od ohydy, którejby nie przeżył.

K A R O L I N A.

Pani...

B A R O N O W A.

Rozważ, czas jeszcze.

K A R O L I N A.

Prawda, hańba!.. świat jest tak złośliwym...

B A R O N O W A.

Cóż więc myślisz uczynić ostatecznie?

K A R O L I N A.

Stało się... pójdę za niego. Jeżeli zobaczę hrabiego, ukryję przed nim moje zmartwienie aby uniknąć hańby, przyjmuję nieszczęście.

B A R O N O W A.

Bardzo dobrze moje dziecię; doniosę o twoim postanowieniu hrabinie.

K A R O L I N A.

Tak pani, powiedz.... powiedz jej natychmiast! Bo później możebym nie przystała na to małżeństwo.

B A R O N O W A.

Idę do niej, uspokój się, uspokój.. (*wychodzi*)

SCENA XIII.

KAROLINA. (*sama*)

Wszystko już się skończyło!.. Czegóżbym nie

uczyniła dla zachowania późnych dni ojca
mojego od wstydu i hańby... A ten pierścio-
nek... jedyny dar który przyjął od Artu-
ra, bo jego imie na nim wyryte! trzeba się i
z nim rozłączyć. (*przyciska pierścień do ust*)

SCENA XIV.

ARTUR, KAROLINA.

A R T U R.

Ah, te pocałowania do mnie należą.

K A R O L I N A.

Oddal się panie hrabio!..

A R T U R.

Cóż to Karolino?... dla czegoż uciekasz ode-
mnie?

K A R O L I N A.

Powinnam, muszę uciekać! Już pana ni-
gdy widzieć nie będę.. Nie chcę pana wi-
dzieć.. idę za męż...

A R T U R.

Idziesz za męż!... ty! ty Karolino!

KAROLINA. (*nie patrząc na niego*)

Piotr, młody, uczciwy człowiek, którego

sobie życzy mój ojciec, którego i ja sobie życzę, prosił o moją rękę przed sześcią miesiącami i... pójdę za niego. Panie hrabio... masz pan, odbierz ten pierścionek.

ARTUR. (*odpychając jej rękę*)

Ah! zaślubiasz! Kochasz go? I jesteś szczęśliwą?

KAROLINA.

Szczęśliwą! (*siada, łzami zalana*)

ARTUR.

Jaka bladość!

KAROLINA.

Tak, stało się, ah! chciałabym umrzeć. Przy nim opuszcza mnie odwaga, a jednak muszę od niego uciekać, tak honor każe i matka Artura. Nie mogę kochać tego, którego poślubię, ale nosząc jego nazwisko, pozyskam szacunek wszystkich, a nie chcę aby mną pogardzono. (*wstaje, z zapalem mówiąc*)

HRABINA. (*za sceną*)

Proszę panie Bertrandzie, proszę.

ARTUR.

Ah moja matka!

SCENA XV.

PIOTR, BERTRAND, KAROLINA, ARTUR,
HRABINA, BARONOWA.

H R A B I N A.

Pójdź tu bliżej Piotrze; oto twoja żona. Arturze, od sześciu miesięcy ci młodzi ludzie kochają się.

A R T U R.

Karolino powiedz!... powiedz!... jesteś panią twojego losu; nikt tu nie powinien, ani chce przymuszać cię. Powiedz!

K A R O L I N A.

Mój ojcze?...

B E R T R A N D.

Czego chcesz moja córko?

K A R O L I N A.

Nie chcę oszukiwać nikogo. Nie mogę zostać żoną Piotra, bo nigdy go nie kochałam.

P I O T R.

A cóż... kiedy ja mówię, że jestem zaczarowany!... Pani hrabino, już teraz nie potrzebuję twoich pieniędzy, nie potrzebuję zastępcy, zostanę żołnierzem i może jeszcze tego szczęścia nawet mieć nie będę, aby mię kula trafiła.

HRABINA. (*do Karoliny*)

Cóż to znaczy? czyliż przed chwilą nie przyjęłaś?...

BARONOWA. (*n. s.*)

Cała moja dyplomacja na nic się nie przydała.

H R A B I N A.

Chciałam ci zapewnić przyszłość, utrzymanie przyzwoite, nie chcesz!... Czy możesz bez zarumienienia wyznać powody, które zmuszają cię do odrzucenia moich dobrodziejstw?

ARTUR. (*z gniewem*)

Ah!....

B E R T R A N D.

Co słyszę? Karolino, jesteś mojem jedynem dziecięciem, ale wiesz dobrze że wolałbym cię widzieć umarłą niż wzgardzoną. Słuchaj, jeżeli Piotr chce jeszcze się z tobą połączyć...

P I O T R.

Jakto? czy ja chcę?

B E R T R A N D.

Trzeba go zaślubić; miłość przyjdzie później. To co mowi pani hrabina, obudza

we mnie myśli... których samo wspomnienie drżeniem mię przejmuje.... Chcę, ażebyś została żoną Piotra.

KAROLINA.

Nigdy.

BERTRAND.

Ośmielasz się?...

HRABINA.

To nadto: na cóż zajmować się dłużej urojeniami tej dziewczyny. Zostawcie nas.

ARTUR.

Oh! nie oddalaj jej w ten sposób matko, zaklinam cię: ona jest panią swoich czynności.

HRABINA.

A ja nie mogę się uwolnić od natrętów.

ARTUR; (z żywością)

Matko moja....

HRABINA.

Może dla przypodobania się tobie, mam przyjąć do mojego towarzystwa szwaczkę.

BERTRAND.

Pani hrabino.....

KAROLINA. (do ojca)

Pójdź, pójdź ojcze....

ARTUR. (*zatrzymując ich*)
-Nie ścierpię, aby znieważano ich w mojej obecności.

H R A B I N A.
A ja nie ścierpię dłużej ich obecności. Oddalcie się natychmiast.

ARTUR. (*z mocą*)
Zostańcie.

BARONOWA. (*n. s.*)
Cóż on chce uczynić?

H R A B I N A.
Wychodźcie, mówię, albo was wypędzić każę.

A R T U R.
Ja wypędzić... obrońcę mojego życia wypędzić!..

B E R T R A N D.
Pozwól nam odejść dowódzco.

K A R O L I N A.
Nie mogę tu zostać; jestem wdowemu matki pana.

A R T U R.
U mojej matki... Nie, nikt tu nie ma prawa kazać ci się z tą oddalić.

H R A B I N A.
Co mówisz?

(179)

KAROLINA.

Pozwól mi pan odejść.

ARTUR.

Nigdy... Chcesz tego matko... przymuszasz
mnie?

HRABINA.

Cóż uczynić zamyślasz?

ARTUR. (*biorąc Karolinę za rękę*)

Hrabino d'Aiglemont... jesteś w twoim domu.

KONIEC PIERWSZEGO AKTU:

A K T II.

(Scena przedstawia salon, stół po prawej aktorów.)

SCENA I.

PIOTR, BERTRAND. (wchodzą głębią)

B E R T R A N D.

Marsz, naprzód kolego: oh, nauczę ja cię przechodzić, a nie dotrzeć rekonensansu.

P I O T R.

Ale bo widzisz ojczyźnie Bertrandzie, nie śmiałem.

B E R T R A N D.

Nie śmiałem! piękny wyraz w ustach żołnierza.... jesteś już kapralem, a dopiero dziewięć miesięcy jakieś ztąd wyjechał; pięknie, bardzo ładnie. Nie mówże mi już nie śmiałem, tak jak gdybyś był rekrutem piętnastodniowym!... i dla tego że mię widzisz w pięknym zamku?... To naturalnie, ponieważ jestem teściem.....

P I O T R.

Ale macie tu ładny bivak.

B E R T R A N D.

Nie szczycę się tym jednak. Od czasu jak

moja córka została żoną mojego dowódcy, który jest tak bogatym, ja także jestem bogatym, a jednakże jeżeli ci mam wyznać prawdę, nudzi mi się.

P I O T R.

Jakto, przykrzy się wam?

B E R T R A N D.

Kiedym był kanonjerem, nie nudziło mi się wcale?.. slichny też to stan żołnierza!.. A wystrzały w boju?.. he? miły odgłos co mówisz?

P I O T R.

Ja tylko na musztrach z ogniem znajdowałem się.

B E R T R A N D.

A mówiłeś mi żeś nie dawno z Włoch powrócił, byłem i ja tam niegdyś.. było nam djabie ciepło.

P I O T R.

To prawda, przeslichne słońce.

B E R T R A N D.

Zostawiliśmy tam nie mało nabojów. Teraz żyję już spokojnie i lubo mi na niczem nie zbywa, wdycham nie raz skrycie do lat mojej młodości.

Tom X

16.

P I O T R.

Małżeństwo waszej córki musiało wiele narobić hałasu. Ja nie mogłem ani jednego dnia dłużej przy was pozostać, i od tej chwili pierwszy raz dopiero będę w Paryżu.

B E R T R A N D.

Ciesz mi to żem cię napotkał.

P I O T R.

Nigdy nie zapomnę tego dnia kiedy dowódzca rzekł: „hrabino d'Aiglemont jesteś w twoim domu.”

B E R T R A N D.

Matka na próżno krzyczała, ożenił się z Karoliną; już od tej chwili nie widział się z starą i od dziewięciu miesięcy jak to małżeństwo zawartem zostało. mieszkamy tu o pięć mil od stolicy. Dowódzcy dziś nie ma w domu; pojechał do Paryża w celu pojednania się z matką; kochana pani bardzo dumna. ;

P I O T R.

A czy wziął z sobą pannę.. panią.. jakże mam mówić?.. Panią hrabinę?.. oh jakże mi trudno wymówić ten wyraz.

B E R T R A N D.

Nie, zobaczysz ją wkrótce; teraz jest w swoim pokoju, uczy się.

P I O T R.

Uczy się? czego?

B E R T R A N D.

Mówić?

P I O T R.

Jakto? alboż ona nie umie mówić tak jak ja albo wy ojczy Bertrandzie.

B E R T R A N D.

To prawda tak jak my, to umie; ale jej mąż, widzisz co innego, on mówi, że trzeba język wykształcić, to nie tak łatwo.

P I O T R.

Rozumiem; ona zostanie uczoną, potem będzie się nudzić!.. Ale i ja także będę pracował, będę się uczył.

B E R T R A N D.

Robić dobrze bronią...

P I O T R.

Zobaczcie kiedyś panie Bertrandzie!.. Ja nie chcę-aby pani... wstydziła się za mnie, a przy pracy.. wszystkiego dokażę!

B E R T R A N D.

Ja myślę, że ty zawsze cokolwiek pamiętasz o niej?

P I O T R.

Ah, to nie może przejść tak prędko. Jest-że ona szczęśliwą?

B E R T R A N D.

Za to ci ręczę... Jej mąż tak ją kocha., przed kilką miesiącami zaczęła się uczyć muzyki, grać na fortepianie; ale przy końcu czterech niedziel dowódzca się zniecierpliwili powiedział że to nie warto pracy, i że się nigdy nie nauczy.

SCENA II.

PIOTR, BERTRAND, KAROLINA.

BERTRAND. (*sposzregłszy Karolinę*)

Karolina pójdź no, czy poznałaś tego zucha?

K A R O L I N A.

To nasz kuzyn, to Piotr.

P I O T R.

Tak ona sama. (*n. s.*) Jeszcze ładniejsza jak była.

B E R T R A N D.

Wrócił z Włoch, drżący jak rekrut jednodzienny nie chciał się tu zatrzymać. Ale przymusiłem go do tego, czy dobrze zrobił?

K A R O L I N A.

Bardzo dobrze mój ojczy,

B E R T R A N D.

Piotr idzie do Paryża, do swojego regimen-

tu ale powiedziałem mu, aby z nami zjadł śniadanie.

K A R O L I N A.

Ciesz się mię to.

P I O T R.

Pani, ale bo ja nie jestem dobrze ubrany, abym mógł jeść razem z państwem.

B A R O N O W A.

Czyliż twój ubiór ma stanowić przeszkodę?

B E R T R A M.

Dobrze mówisz, jesteś wybornem dzieckiem Karolino. Piotrze, powiedz mi jakie wino będziesz na śniadanie.

P I O T R.

Dla mnie wszystko jedno! Najlepsze byłoby najlepiej.

B E R T R A N D.

Bądź spokojny!.. a kawa, i mały kieliszek.... zobaczysz (*dzwoni*) Otóż to, jak przychodzą. (*do służącego*) Panie Michale; będziesz prosił kucharza odemnie, aby przygotował śniadanie na trzy osoby.

B E R T R A N D.

Tam do kata, zapomniałem wyczyścić pistolety mojego dowódcy.. Piotrze pogadaj tu z Karoliną, ja wkrótce powrócę. (*wychodzi*)

SCENA III.

PIOTR. KAROLINA.

KAROLINA.

Wiele się tu rzeczy odmieniło od czasu naszego ostatniego widzenia się.

PIOTR.

Tak, pisano mi, że kuzynka pani Anusia za mąż poszła.

KAROLINA.

Ah!

PIOTR.

Pani nie wiedziała o tém?.. A pani Dutour, która jest także kuzynką pani, czy dawno pani nie widziała?

KAROLINA.

Od czasu mojej wesela.

PIOTR. (n. s.)

Otóż to zostać wielką panią!

S.Ł U Ź Ą C Y

Pan hrabia!

KAROLINA.

Mój mąż!.. ah co za szczęście. (*biegnie na jego spotkanie*)

SCENA IV.

PIOTR, HRABIA, KAROLINA.

HRABIA. (*wchodzi głębią*)

Dzień dobry droga żono!

K A R O L I N A.

Uściskaj mię jeszcze, mój najdroższy.

H R A B I A. (*półgłosem*)

Kto to jest, z kim tu jesteś? co za człowiek?

P I O T R.

Witam dowódcę.

H R A B I A.

Zdaje mi się... czy nie jesteś....

P I O T R.

Piotr Moulin z pułku piechoty, kapral.

H R A B I A.

I spieszysz zapewne połączyć się z innymi, dobrze!.. Michale każ mu dać śniadanie. Żegnaj cię mój przyjacielu, jeżeli chcesz, polecę cię twojemu pułkownikowi.

P I O T R.

Dziękuję mój dowódczo. Żegnaj cię pani, mój uścisk ojcu chrzestnemu.

H R A B I A.

Któż jest jego ojcem chrzestnym? czy Bertrand?..

K A R O L I N A.

Mój ojciec, Piotr jest naszym krewnym.. dalekim; mój ojciec zaprosił go, aby zjadł z nami śniadanie.

HRABIA. (*n. s.*)

Jeszcze i ten.

KAROLINA. (*widząc nieukontentowanie hrabiego, idzie do Piotra*)

Bądź zdrów Piotrze.

H R A B I A.

Czekaj.. zostań.. zjesz razem z nami, a potem udasz się w dalszą drogę.

P I O T R.

Przebacz mi dowódczo! już nie jestem głodny, muszę iść.

H R A B I A.

Ale..

KAROLINA. (*cicho do Piotra*)

Zostań; widzisz że on chce abyś został.

P I O T R.

Bardzo dziękuję; nie mam czasu...

H R A B I A.

Ponieważ cię nie można zatrzymać, żegnam więc! Jeżeliby ci mógł w czém być użytecznym, rozrządzaj mną zupełnie.

KAROLINA. (*z cicha*)

Może potrzebujesz pieniędzy...

P I O T R.

Oh pani!..

KAROLINA.

Nie wstydz się..

PIOTR. (n. s.)

Jednak! ma dobre serce! (głośno) Żegnam
pana i panią.

SCENA V.

KAROLINA i HRABIA.

HRABIA

Cóż ci to Karolino?

KAROLINA.

Maie nic. Ten biedny chłopiec tak smutny
odszedł; będzie myślał, że jestem dumną, a
jednakże to nasz krewny.

HRABIA.

Jak tylko dowiedziałem się kto jest, czyni-
łem co tylko mogłem aby go zatrzymać; ale
oczekuję dziś gości, a twoi krewni...

KAROLINA.

Ile razy tylko wrócisz z Paryża, zawsze mó-
wisz o moich krewnych, bo tam widzisz wielki
świat. W pierwszych miesiącach naszego mał-
żeństwa, nie odstępowałeś mię ani na krok, i
nie mówiłeś onich.

HRABIA.

Przebacz mi moja droga!.. Kocham cię za-
wsze...

K A R O L I N A.

To jest mojem największym szczęściem. Ale zapomniałam ci powiedzieć, mój nauczyciel kontent jest ze mnie, powiada żem znaczny uczyniła postęp. Czy wiele było błędów w liście, który wczoraj do ciebie pisałam.

H R A B I A.

Gdy widzę w każdym wierszu wynurzenie twojej miłości, cóż mię styl zajmować może? Ale ty nie pytasz mię o nowiny z Paryża?

K A R O L I N A.

Widziałeś twoją matkę? Czyście się pogodzili?

H R A B I A.

Zupełnie. Rzuciłem się w jej objęcia, ona płakała i wszystko zapomniane. Dziś nawet przyjedzie z baronową d'Alby, której staraniom winienem to pojednanie.

K A R O L I N A.

Baronowa d'Alby... Ah tak... ta młoda dama... przypominam sobie.

H R A B I A.

Trzeba pomyśleć o ich przyjęciu, zapewne przybędą nie długo. Jesteś jeszcze nie ubrana, gdybyś się chciała zająć toaletą...

K A R O L I N A.

Jeżeli ty mię kochasz tak jak jestem, czyliż potrzebuję podobać się innym?

H R A B I A.

Kocham cię, jak nie można kochać więcej, ale chciałbym, aby pani d'Alby i małka moja znalazły cię piękną... bardzo piękną.

K A R O L I N A.

Dziwny jesteś człowiek... ale uczynię ci za-
dość, jednak nie ubiorę się bardzo strojnie, bo
wtedy jestem niezgrabną.

H R A B I A.

A więc jak chcesz. Przyrzecz mi tylko, że
podczas obiadu pamiętać będziesz moje nauki.

K A R O L I N A.

Oh bądź spokojny!... wiem już jak położyć
łyżkę, wiem już że trzeba... z czegoż się ty
śmiejesz?

H R A B I A.

Śmieję się z ciebie i ze mnie samego. Idź
droga Karolino, bądź zawsze tak łagodną i
dobrą, a nie będziesz potrzebowała żadnej
sztuki, aby mię ciągle zachwycać.

K A R O L I N A.

Oh jakże jestem szczęśliwa!... co się tycze

miłości i posłuszeństwa, nigdy się na nie za-
lic nie będziesz. (*wychodzi drzwiami bocznemi*)

SCENA VI.

HRABIA. (*sam*)

Wyborne serce!.. Biedna Karolino, twoja
dobroć i prostota więcej mają wartości, ani-
żeli talenta, których ci nie dostaje.

SCENA VII.

HRABIA, BERTRAND.

BERTRAND.

Dzień dobry dowódzco. Podróż szczęśliwie
odbyliście?

HRABIA.

Bardzo szczęśliwie.

BERTRAND.

Tém lepiej.

HRABIA.

Czy masz mi co powiedzieć?

BERTRAND.

Tak jest.

HRABIA.

Mów, słucham.

BERTRAND.

Przychodzę was pożegnać... wracam do Pa-
ryża.

H R A B I A.

Do Paryża! dla czego?

B E R T R A N D.

Mam interessa....

H R A B I A.

Jakież.

B E R T R A N D.

Oh my biedacy, nie mamy wielkich interesów, i dla tego nie warto was nudzić niemi, Żegnaj cię więc mój dowódzco, żyj zdrów, ja zmieniam stanowisko.

H R A B I A.

Bertrandzie, cóż ci to? jesteś w złym humorze.

B E R T R A N D.

Ja?.. Oh nie.. wcale...

H R A B I A.

Ale tak, bądź szczerym: cóż ci się stało? czyby cię kto obraził?

B E R T R A N D.

Obraził?.. nie nikt.. mogłabym się obrazić? Wiem dobrze, że nie jestem tu panem, że nie do mnie należy rozkazywać; ten ma prawo zapraszać kto płaci, bardzo słusznie i byłoby niesprawiedliwie gdybym się miał uzalać. Dla

tego nie uskarżam się wcale. i dla tego... od-
dalam się.

H R A B I A,

'Teraz cię rozumiem Bertrandzie, mówileś
z Piotrem. Ale cóż w tym dziwnego.. że..

B E R T R A N D.

Nic dziwnego wcale! I gdybym ja był ta-
kim człowiekiem jak wy, dowódcą, bogatym,
szlachetnym, zresztą wszystko co wam się po-
doba, ja byłbym może jeszcze dumniejszym,
ale.. widzicie.. Eh! do kroćset kartaczy.. oto
czuję, że ja tu nie jestem na swoim miejscu,
a zdarzenie Piotra, który odszedł z sercem
pełnym bóleści a próżnym żołądkiem, otwiera
mi oczy. Powiedziałem do siebie: »I co ty tu
robisz? I natychmiast nieodmiennie postano-
wiłem wrócić na przedmieście St. Denis.

H R A B I A.

Bertrandzie, ja nie dozwolę ci w ten spo-
sób odjeżdżać.

B E R T R A N D.

No, ponieważ tak otworzyłem moje serce,
powiem tedy prawdę.. ja tu głupieję.

H R A B I A.

Ah!

B E R T R A N D.

W tych pysznych salonach nie mogę palić fajki, obiad mi dają o 6, śniadanie w południe. Czasem też i śmieją się z mojego sposobu postępowania, mógłbym się kiedy o to rozgniewać, i codziennie się tego obawiam; bo nakoniec i wy sami powstalibyście na mnie; ale kiedy już raz będziemy daleko jeden od drugiego, ręczę, że będziemy żyli w największej zgodzie.

H R A B I A.

Zdaje mi, się że dziś dopiero poczyniłeś te uwagi.

B E R T R A N D.

Przebacz mi dowódzco! Już oddawna tak myślę. Jestem stary, czasami nieco gderacz; lubię pójść sobie do dawnych kolegów i przy fajeczce pogadać z niemi, w ten czas dopiero jestem swobodny; tu i wam się naprzykrzam i samemu mi się przykrzy. Co zaś do mojej córki, będąc żoną powinna tu zostać. Ona przybierze ułożenie dam wielkiego tonu, jeżeli będzie je umiała przybrać, a potem gdyby z niej żartowano, jesteś jej mężem, waszą

powinnością obciąć uszy szyderycy i obetnie-
cie, znam was dobrze mój dowódzco.

H R A B I A.

Bertrandzie, bardzo mi boleśno....

B E R T R A N D.

I mnie to boli, że muszę was opuścić; ale
o cóż idzie? rozłączamy się w przyjaźni; będę
was czasem odwiedzał, rano, jeżeli będziesz
sam mój dowódzco, potem prosić was będę
o śniadanie ma się rozumieć. Ja się nie gnie-
wam wcale, kocham was jak zawsze; ale bądź-
cie zdrowi. Dziś wieczór, między kolegami za-
palę sobie fajkę w oberży pod *białym ko-
niem*.

H R A B I A.

Przynajmniej, odwiedzisz nas wkrótce.

B E R T R A N D.

Oh z całej duszy; ale o tém cośmy mó-
wili, nie trzeba wspominać mojej córce; niech
to zostanie między nami. Żegnam cię do-
wódzco.

SCENA VIII.

(HRABIA. *(sam)*)

Znajduję tyle cnoty... a jednakże... tak
mało szczęścia.

SLUŻĄCY. (*wnosząc harfę, pędzle i muzyczne papiery.*)

Oto jest wszystko co pan Hrabia przynieść rozkazał.

H R A B I A.

Dobrze. (*slużący wychodzi*) Baronowa będzie nam mogła zaśpiewać kilka nowych arji. Już tak dawno nie słyszałem nic nowego.... Jak ona jest przyjemną!... Przyjeżdża tu!... ta nad którą przeniosłem.... Jleż powabu, dowcipu!... Zdaje mi się, że od czasu mojego ożenienia jeszcze wypiękniała!... Aby tylko Karolina dziś ładną była.... Dziś nie najpiękniej wygląda....! Jeżeli będzie trwożliwą a przez to samo niezręcznie.... Drzę cały!... Co za myśl... Wstyd mi... Czyliż to nie są blahe przesady, czyliż natura mniej ma wdzięków, a Karoliny szczerłość czyliż nie więcej ma wartości nad zalotność Baronowej?

SCENA IX.

HRABIA, KAROLINA (*wbiegając bocznemi drzwiami*)

K A R O L I N A.

Mój mężu, jakiś powóz zajechał na dziedziniec.

H R A B I A .

To zapewne moja matka i pani d'Alby.

K A R O L I N A .

Oh mój Boże! jak ja się boję.

H R A B I A .

Idźmy na ich spotkanie... Ale bądź spokojną i baczna na to, co mówić będziesz. Otóż i oni.

SCENA X.

BARONOWA D'ALBY, HRABINA, HRABIA,

KAROLINA.

H R A B I N A .

Dzień dobry Arturze, dzień dobry... pani...

B A R O N O W A .

Jestem....

HRABIA. (*przerywając*)

Druga matko, jakżem szczęśliwy że cię oglądam.. (*do baronowej*) Pozwól pani przedstawić sobie hrabinę d'Aiglemont.

B A R O N O W A .

Już oddawna pragnęłam zabrac bliższą znajomość.....

K A R O L I N A .

Pani nazbyt dobra, albowiem....

HRABIA. (*przerywając*)

Czy pani nie utrudzona?

H R A B I N A.

Mój synu, jesteś szczęśliwy?

H R A B I A.

Bardzo szczęśliwy.

H R A B I N A. (*do Karoliny*)

A ty pani?

K A R O L I N A.

Czy jestem szczęśliwą?... on jest zawsze przy mnie.

B A R O N O W A.

To szczęście może być wystarczającym w lecie; ale na zimę wróćcie do Paryża. Nie trzeba nam zupełnie porzucić p. hrabiego, i pani nawet sama nie powinnaś tak odłączać się od świata.

K A R O L I N A.

Uczynię co tylko mój mąż zechce, i wyznam szczerze, chciałabym zobaczyć moją rodzinę, przyjaciółki młodości...

H R A B I A.

Słusznie mówisz, pojedziemy do Paryża. (*do baronowej*) Jeżeli pani raczy przypatrzeć się wiejskiemu ogrodowi...

B A R O N O W A.

Natychmiast. (*spoglądając na harfę i pa-*

piery) Ah widzę, że i sztuki piękne uprzyjemniają waszą samotność. Ta harfa, pędzle, zapewne pani zajmujesz się.

K A R O L I N A.

Nie wcale, możesz pani domyśleć się; że....

H R A B I A.

Hrabina gra tylko na fortepianie; dla pani baronowej kazałem to przygotować.

B A R O N O W A.

Wdzięczna mu nieskończenie.

H R A B I N A. (*n. s.*)

Biedny Artur! jak skłopotany!

SŁUŻĄCY. (*wchodząc*)

Jakiś człowiek przyniósł ten list z poblizkiej oberży i czeka na odpowiedź.

H R A B I A.

Panie raczą pozwolić (*otwiera list*) Ah to od tego pustaka Monval, przyjeżdża z Włoch.

B A R O N O W A.

Wrócił więc, mocno mię to cieszy.

H R A B I A.

Posłuchajcie panie co pisze:

«Kochany Arturze, przybywam z Włoch i
«stanąwszy w poblizkości twojego zamku, do-
«wiaduję się, że mieszkasz w nim a co więk-
«szą, że podczas mojej nieobecności ożeniłeś

• się. Mogę tu zatrzymać się kilka godzin, a
• jeżeli mię raczysz przedstawić Hrabinie d'Ai-
• glemont, której znać nie mam zaszczytu, po-
• biegnę złożyć jej moje hołdy, szczęśliwy, że
• znajdę u ciebie pierwszy wstęp do zabaw,
• które spieszę odzyskać w Paryżu. Oczekuję
• twojej odpowiedzi w obojętym. Twój przywią-
• zany i niezmiernie znudzony kolega, Leon de
• Monval. »

B A R O N O W A.

Niechże przybywa; będzie nas bawił.

H R A B I A.

I ja właśnie tego pragnę.

H R A B I N A.

Idz więc po niego, Arturze.

H R A B I A.

Natychmiast; oberża jest ztąd o kilka kro-
• ków, przyprowadzę go za chwilę.

SCENA XI.

BARONOWA, HRABINA, KAROLINA.

H R A B I N A.

Baronowo, zagraj nam co nowego.

B A R O N O W A.

Możeby to nie bawiło pani hrabiny d'Aigle-
• mont.

KAROLINA.

Oh przeciwnie pani.

BARONOWA.

Cóż to za robota?

KAROLINA.

To ja haftuję.

BARONOWA.

Bardzo pięknie, prześlicznie!

KAROLINA.

Czy tak się pani zdaje? To co pani masz na sobie, daleko piękniejsze, czy to pani robota?

BARONOWA. (*uśmiechając się*)

Moja... nie, to Minetty.

KAROLINA.

O mój Boże!... ten woal jest rozdarty.

BARONOWA.

Doprawdy? zapewne wysiadając z powozu...

KAROLINA.

Ja go zaraz naprawię.

BARONOWA.

Oh, nie chciałabym, ażebyś pani tyle sobie zadawała pracy.

KAROLINA. (*biorąc igłę, chce naprawić*)

Bardzo mi przyjemnie, że mogę stać się pani użyteczną.

B A R O N O W A.

Nie, nie, zbyt wiele dobroci!... nigdybym na to nie pozwoliła.

H R A B I N A (n. s.)

Wzrusza mię jej szczerłość.

S Ł U Ż A C Y.

Pan de Monval.

SCENA XII.

KAROLINA, BARONOWA, HRABINA, MONVAL.

M O N V A L.

Przebaczcie mi moje damy, że w ten sposób im się przedstawiam!.. Nie miałem cierpliwości czekać na odpowiedź.

H R A B I N A.

Mój syn sam udał się do pana.

M O N V A L.

Oh ten Artur tak dobry; ale za ledwie mój służący oddalił się, zacząłem rozważać: ja tak zawsze czynię, rozmyślałem po czasie. Osądziłem że mając zabawić tu tylko kilka godzin, byłoby śmiesznie przepędzić je w nędznej o-oberży, i dla tego spieszę do zamku, zapewne Artur udał się inną drogą. Pragnąłem złożyć moje uszanowanie hrabinie d'Aiglemont. (do baronowój) Nie wiedziałem o zupełnym

szczęściu mojego przyjaciela. (*do hrabiny*)
Ani się mogłem domyśleć że i panią tu za-
stanę. (*patrzy na Karolinę*) Co widzę... same
znajomości... Czy pani nie przypominasz mię
sobie?

HRABINA. (*n. s.*)

Czegóż się dowiem? korzystajmy z jego
błędu.

KAROLINA.

Przypominam sobie, że Pana widziałam u
Pani Robert szyjącej bieliznę.

MONVAL.

Tak, tak u pani Robert przy ulicy Sgo Ho-
norjusza.

BARONOWA (*do Monwala*)

I pan masz takie znajomości?

MONVAL.

Dawna garderobiana mojej matki odziedzi-
czyła jakiś mająteczek, i założyła prześliczny
sklep bielizny, gdzie jeszcze piękniejsze panny
codziennie widzieć można było.

BARONOWA.

W istocie?

MONVAL.

Pani Robert była 20 lat w naszym domu;

ona mię znała dzieckiem prawie, pieściła się ze mną, i sama wdzięczność...

B A R O N O W A.

I piękne twarzyczki sklepowe...

M O N V A L.

I zemiłowanie moje w czynieniu uwag, często mnie do niej wiodły. (*do Karoliny*) Cóż się stało z tą zachwycającą osobą, z ślicznem czarném okiem, twarzą ujmującą?

K A R O L I N A.

Ta z którą pan tak często chodził na spacer? Cecylja Brun?

M O N V A L.

Nie, nie.

K A R O L I N A.

Kuzynka moja Dutour?...

SCENA XIII.

KAROLINA, BARONOWA, MONVAL, HRABIA
HRABINA.

H R A B I A.

Ah witam cię kochany Monvall!.. nabiegałem się za tobą.

M O N V A L.

Przebacz mi Artur, tak cię pragnąłem wi-

dzieć... ale byłbym się jeszcze więcej spieszył gdybym był wiedział kogo tu zastanę.

H R A B I A.

Żałuję żem cię sam nie przedstawił mojej żonie.

M O N V A L.

Będąc dziesięć miesięcy zdala od Francji, nic nie widziałem co się dzieje w naszym kochanym Paryżu. Powiedziano mi w oberży żeś się ożenił.. przyjmij moje powinszowanie: wdzięki, piękność, towarzystwo rozkoszne.

H R A B I A.

Prowadzę życie samotne.

M O N V A L.

Pozumiem!.. przez kilka miesięcy. O wy pierwsze chwile miłości! czegoż się dla waś nie zapomina? Ale proszę cię, nie bądźże samolubem, na zawsze nie opuścisz naszego świata?

B A R O N O W A.

Mamy nadzieję, że pan hrabia zimę przepędzi w Paryżu.

M O N V A L.

A to przedziwnie! Przy tobie zapomnę wszystkich trosk moich. Najwięcej w ten czas potrzebujemy zabawy kiedy nas boleść obarcza.

H R A B I A.

O twoją jestem zupełnie spokojny.

M O N V A L.

Nie tak lekka do zniesienia jak sądzisz: nie-
szczęśliwa namiętność!

H R A B I N A.

Coż Pan Monval mówi o namiętności?

B A R O N O W A.

Ten wyraz zapewne pierwszy raz z jego
ust wychodzi. (*śmieje się*)

M O N V A L.

Tak jest, tak, namiętność, proszę nie zar-
tować sobie ze mnie! Wiecie panie, byłem,
już tak blisko, że... o małym się nie ożenił!
Ale wspomniawszy na różnicę... Prawdziwe
szaleństwo, małżeństwo z miłości; młoda oso-
ba, prawda, że bardzo piękna, ale w posagu
tylko cnoty mi przynieść miała!... i tak ją ko-
chałem, że gdyby przy tych cnotach miała
ze 60,000 franków rocznego dochodu, niezawo-
dnie dziś byłbym najlepszym mężem... Ale
nie nie było... rozważyłem więc niestosow-
ność tego związku, i skończyło się na ni-
czem.

H R A B I A.

Jakto Monval, nie lękałżeś się opuścić osoby przywiązanej do ciebie?

M O N V A L,

Między nami mówiąc, byłoby to nierozsądkiem zawierać takie związki... Czułem to dobrze, i dla tego szukam rozrywek. W Paryżu znajdę dawne wspomnienia. (*do Karoliny*)
Mówiłaś mi pani, że kuzynka Dutour...

K A R O L I N A.

Założyła magazyn na przedmieściu Sgo Antoniego.

M O N V A L.

Az tam? ktoby się był spodziewał...

H R A B I A. (*zblizajęc się*)

Ale...

M O N V A L.

Dajże mi pokój: ja znałem pannę Karolinę Bertrand.

H R A B I A.

Znałeś...

M O N V A L.

Ale, *honnè soit qui mal y pense*... Panna Karolina była surową cnotą!

H R A B I A.

Mości panie...

M O N V A L.

Czy dla tego przybierasz powagę żeś cię ożenił? Prócz tego panna zapewne bawi przy Hrabinie, a ja nazbyt szanuję....

KAROLINA (n. s.)

Nieszczęśliwa!

H R A B I A.

Co śmiesz mówić?

B A R O N O W A,

Pan się mylisz.

K A R O L I N A.

Arturze! Arturze!

M O N V A L.

Co to znaczy?

H R A B I A (stojąc przed Karoliną)

Że jesteś w błędzie, i że widzisz przed sobą Hrabinę d'Aiglemont.

H R A B I A (n. s.)

A do licha! cóżem uccynił.. (głośno) ale któżby mógł domyśleć się... ja... tak... przebacz mi pani... A ty mój przyjacielu, wierz mi, że gdybym był mógł....

H R A B I A. (ukrywając wzruszenie)

Nie gniewam się wcale; nie powinienem się gniewać, nie wiedziałeś....

H R A B I N A.

Bez wątpienia. Nie mówmy już więcej o tem.
Chciałabym odpocząć chwilę.

B A R O N O W A.

A ja przebrać się z podróży.

H R A B I N A. :

Zastaniemy cię tu jeszcze panie Monval.

M O N V A L.

Nie wiem, czy będę, miał to szczęście...
muszę jechać do Paryża.

H R A B I A. (z ucinkiem mocnym)

W istocie, po odbytej kampanji, trzeba jak
najprędzej opowiedzieć swoje waleczne czyny,
okazać trofea, rany. Jutro u Tortoniego, pan
Monval będzie bohaterem..... Drzeć będą
budoary, kulisy, na samo opowiadanie jego
niebezpieczeństw...

M O N V A L.

Arturze...

H R A B I A

Przyslijże nam dziennik, który opiewać
będzie twoje bohaterskie dzieła, to nas za-
bawi.

M O N V A L.

D'Aiglemont, ten ton szyderski....

H R A B I A.

Zbłądziłem, wyznaję... niebezpiecznie żartować z rycerza, jakim jest pan de Monval.

MONVAL. *(z cicha)*

Być może że niebezpiecznie.

HRABINA. *(wchodząc między Monvala i hrabiego)*

Cóż to ma znaczyć, Arturze, panie Monval.

B A R O N O W A.

Co za dzieciństwo?

KAROLINA. *(n. s.)*

Artur w gniewie.

HRABIA. *(z przymuszonym uśmiechem)*

Nic, to tylko żart; znany jest dowcip pana de Monval.

HRABINA. *(z cicha do hrabiego)*

Mój synu uspokój się, i znoś cierpliwie los, który sam obrałeś. *(do baronowej)* Idźmy. *(do pana Monval, który jej podaje rękę)* Do widzenia, panie Monval... Jesteś gościem mojego syna.

M O N V A L.

Nie zapomnę o tem.

"SCENA XIV.

KAROLINA, HRABIA, MONVAL.

MONVAL. (*z cicha*)

Arturze, powiedz mi co ci stało? Jak mam rozumieć podobną mowę?

HRABIA. (*z cicha*)

Czy pana obraża?

MONVAL. (*j. w.*)

Domyślasz się, że gdybym nie był u ciebie.....

HRABIA. (*j. w.*)

Niech to pana nie wstrzymuje... ale, milczenie: wkrótce pomówimy o tem w zwierzyńcu... (*głośno*) No, panie de Monval, czy nie przejdziem się cokolwiek, nie znasz mojego ogrodu.

KAROLINA.

Arturze, opuszczasz mię?

HRABIA.

Na chwilę tylko; zajmij się moją matką, panią baronową, wkrótce powrócę.

KAROLINA.

Nie baw długo. Wiesz, że tutaj mam tylko ciebie.

H R A B I A.

Czyliż nie jesteś w twoim domu?... Ale postrzegam twój ojca; szuka cię, zapewne chce z tobą pomówić.

MONVAL (n. s.)

Ach to pan teść.

HRABIA. (do Monvala)

Służę panu. (wychodzą)

SCENA XV.

KAROLINA, BERTRAND.

B E R T R A N D.

Cóż ci jest? Jesteś tak... sam nie wiem... co ci jest?

K A R O L I N A.

Nic, nic mój ojciec.

B E R T R A N D.

Ale tak do kroćset granatów, tu jest coś w tym! Cóż to za jeden ten nowo przybyły? Spoglądał na mnie w ten sposób, że mi się nie podobał zupełnie!... Ale basta! Słuchaj no, szukam cię od godziny, aby się z tobą pożegnać, jadę do Paryża.

K A R O L I N A.

Odjeżdżasz...

B E R T R A N D.

Mam interessa.

K A R O L I N A.

Mój Boże! domyślam się przyczyny, i nie śmiem cię zatrzymywać.

B E R T R A N D.

Piotr jest jeszcze tu, razem pojedziemy, chciał się z tobą także pożegnać.

„K A R O L I N A.

Niech przyjdzie.

B E R T R A N D. (*w kulisy wołając*)

Pójdź tu, pójdź mój poczciwy chłopcze.

[S C E N A X V I.

KAROLINA. PIOTR, BERTRAND.

P I O T R.

Pani raczyła pozwolić....

K A R O L I N A.

Żegnaj cię Piotrze, miej staranie o moim ojcu.

P I O T R. (*n. s.*)

Jaki głos miły!.. (*głośno*) Żegnaj!.. Pani hrabino!.... (*wzruszony*)

K A R O L I N A.

Mój przyjacielu!....

P I O T R.

Oh nie sądź pani, że jej szczęście mię gniewa! Pani nie byłaś stworzoną na żonę biednego rzemieślnika! Ja nie potrafiłbym

panią tak uszczęśliwić. Może już raz ostatni
widziemy się ze sobą, racz pani pamiętać o bied-
nym Piotrze!

B E R T R A N D.

No, no! co to znowu za gadanie, nie lu-
bię.... czas w drogę! *(tu słyhać dwa wy-
strzały.)*

K A R O L I N A.

Co to jest?

B E R T R A N D.

Zapewne myśliwi polują. Uściskaj mię Ka-
rolino, i bądź zdrowa.

SCENA XVII.

KAROLINA *(sama.)*

Odjechali!... Zostałam sama!... sama!....

GŁOS ZA SCENĄ.

Pomocy! ratunku! Józefie, Janie!

K A R O L I N A.

Wielki Boże!

BARONOWA *(wychodząc ze swego pokoju)*
Cóż to znaczy?

HRABINA *(spiesznie przybiegając)*

Cóż się stało?

SCENA XVIII.

BARONOWA, BERTRAND, HRABIA. *(wchodząc
dziwiami w głębi; raniony w rękę opiera się*

na Bertrandzie i Piotrze, który stawia krzesło w środku sceny) KAROLINA, HRABINA.

KAROLINA (*btegnąc na przeciw Hrabiego*)

Ach! mój mężu!....

HRABINA.

Synu!

BARONOWA.

Pomocy, ratunku, spiesznie po doktora!

BERTRAND.

Bez hałasu; nie ma niebezpieczeństwa: tamten kolega nie tak się małym kosztem uwolnił; ma nogę strzaskaną.

BARONOWA.

Jakto? z jakiejże przyczyny?

BERTRAND.

Do sto kartaczy, mój dowódzca chciał zapewne ukarać tego co śmiał żartować z Karoliny.

HRABINA.

Nie próżna była moja obawa.

HRABIA. (*siedząc*)

To nic, to nic, uspokójcie się.

KAROLINA.

Mój Arturze!... Boże! jak jest blady... traci przytomność!.. jakżem nieszczęśliwa.

HRABINA. (*odpychając wszystkich*)

Pozwólcie mi ratować mojego syna!

B. A R O N O W A.

O nie odpychaj mię pani!

H R A B I N A.

Oddal się!

K A R O L I N A.

Nie, nie.. do mnie należy ratować go.

B A R O N O W A.

Otwiera oczy.

H R A B I N A.

Nieszczęśliwa... tyś mu odebrała życie.

KAROLINA. *(wydając krzyk przeraźliwy)*

Ah!

KONIEC DRUGIEGO AKTU.

AKT III.

(Scena przedstawia pokój Karoliny w zamku hrabiego d' Aiglemont. Za podniesieniem zastony, Karolina spi w krześle po lewej aktorów, przy stoliku na którym świeca dopala się prawie. Po prawej inny stół, toaleta)

SCENA I.

KAROLINA. *(spiąca)* HRABIA. *(za nim służący wnosi pudełko ozdobne które stawia na stole po prawej)*

H R A B I A,

Postaw tu, i odejdz. *(służący wychodzi)* Co widzę? Karolina!..Spi... świeca pali się jeszcze, czekała więc na mnie!... jej sen zdaje się nie spokojny.

KAROLINA. *(spiąca, niby słucha zegaru)*

Raz, dwa, trzy... Trzecia godzina rano! On już nie wrócił!.. Jaki świetny bal! Co kwiatów! Djamentów!.. Jak piękne kobiety!.. jak zgrabnie tańczą!

H R A B I A.

Biedna Karolino!

KAROLINA. (*ciagle śpiąca*)

Gdybym i ja mogła.. nie.. śmieją się wszystkie.. żartują ze mnie.. Oh Boże!.. wyjdźmy (*wzrusza się, czyni poruszenie jakby wstać chciała i budzi się*) Ah! Artur, mój Arturze!.. to ty!.. wróciłeś?

H R A B I A.

Już oddawna moje życie; teraz dziesiąta.

K A R O L I N A.

Ah!... zasnęłam tu.. nie wiem jakim sposobem..!

H R A B I A.

Czekać na mnie, tak długo.. snu się pozba-
wiać. Karolino, ty zachorujesz.

K A R O L I N A.

Oh nie.. Czytałam.. haftowałam i sen mię
zmarzył.

H R A B I A.

Nie wierzę temu... niespokojna oczekiwałaś
mojego powrotu.

K A R O L I N A.

Przebacz mi drogi Arturze! kiedy wiem, że
jesteś w twoim pokoju, spię daleko lepiej..
spokojniej..

H R A B I A.

Zabawy tak późno się kończą

K A R O L I N A.

Tak, bardzo późno!

H R A B I A.

Od trzech miesięcy jak wróciliśmy do Paryża, podzielałaś ze mną te powinności towarzysztwa, teraz wyrzekłaś się ich zupełnie.

K A R O L I N A.

Nadto wiele upokorzenia ponosiłaś z mojej przyczyny. Arturze, ty się nie bawiłaś gdy ja bylam razem z tobą. Niespokojność o wszystko com mówiła, abym się nie stała przedmiotem szyderstwa pięknych dam, nieszczęśliwym cię czyniła. A ja! ileż to cierpiałam. Gdy jestem sama z tobą, umiem mówić dość przyzwicie; ale w tych świetnych salonach, gdzie każdy starannie upatruje tylko błędu, tam staje się tak nie zgrabną, nie śmiem ust otworzyć słowa znaleźć nie mogę. Musisz się wstydzic za mnie.. Widziałem to, i powiedziałam sobie: Zostawię mu zabawy do których przywykł, nie będę przeszkadzać jego szczęściu; przydam tylko do niego, miłość moja, gdy mu się uprzykrzą tę świetne uciechy, powróci do mnie. Wśród wielkiego swiata znajdzie zabawy, tu będzie kochany.

H R A B I A

Dobra Karolino! ja nie zapominam o tobie patrz, te drobnostki, kupilem dla ciebie.. czy ci się podobają?

K A R O L I N A.

Prześliczne!... ob jak ty dobry, że myślisz o mnie.

H R A B I A.

Droga żono. (*całuje ją w rękę*)

K A R O L I N A.

Całujesz mię w rękę, jak gdybym była wielką panią.

H R A B I A. (*ściskając ją*)

A więc przenosisz uścisk męża?

K A R O L I N A.

Są chwile w których jestem bardzo szczęśliwa!.. naprzykład teraz, już bardzo dawno nie widziałam cię samego!.. Pojdz, usiądź tu przy mnie. (*siadają razem na kanapie*) Dobrze się bawiłeś na balu. Kogóżeś widział?

H R A B I A.

Cały Paryż był zgromadzony: najprzód piękna księżna de la Tremouille.

K A R O L I N A. (*śmiejąc się*)

La Tremouille!.. jakie śmieszne nazwisko!.. Tremouille.

HRABIA (z powagą)

Jest to nazwisko, którego nie godzi się nie znać we Francji.

KAROLINA (smutno)

Ah!... któż więcej?

HRABIA.

Gdybym ci i więcej osób wymienił, nie znasz ich także.

KAROLINA. (wzdychając)

Prawda... ale widziałeś panią d'Alby.

HRABIA.

Bezwątpienia.

KAROLINA.

I cóżeście tam robili?

HRABIA.

To co zwykle, pani Malibran śpiewała arję z Otella... Ale ty nie znasz muzyki włoskiej; nie chciałaś nawet iść na teatr włoski.

KAROLINA.

Nie moja w tym wina! pamiętasz że kiedyśmy byli razem, zasnęłam w pierwszym akcie.

HRABIA.

Po śpiewie zaczęto tańczyć, grano wécarté potem kolacja.

KAROLINA.

A ubiory?

H R A B I A.

Przepyszne!.. szczegółów nie pamiętam.

K A R O L I N A.

Czy tańcowałaś?

H R A B I A.

Walcowałem z panią d'Alby.

K A R O L I N A.

Pięknie była ubrana?

H R A B I A.

Jak anioł!... Suknia blondynowa, ozdobiona girlandą z kamelji....

K A R O L I N A.

Ah... jej ubiór zatrzymałeś w pamięci!.. czy wygrałeś co w *écarté*.

H R A B I A.

Nie grałem wcale, rozmawiałem.... Opowiadano zdarzenia tak śmieszne i w sposób tak zajmujący....

K A R O L I N A.

Opowiedz mi.

H R A B I A.

Aby cię to zająć mogło; trzeba znać osoby.

K A R O L I N A.

To prawda... któż opowiadał? Pani d'Alby zapewne.

H R A B I A.

Ona... i ja.

KAROLINA. (*wstając po chwili milczenia*)

Arturze... nasz związek był tylko nieszczęśliwym trafem; ani jedno, ani drugie nie miało czasu do rozwagi, do zastanowienia.

H R A B I A.

Co mówisz?

K A R O L I N A.

Przez niejaki czas sądziłam, że przy pracy, przy nauce, zdołam się wznieść aż do ciebie... ale poznaję teraz, że jest wiele rzeczy których od dzieciństwa uczyć się potrzeba. Ty sam nawet, przestałeś mię już poprawiać, nauczać.

H R A B I A.

Uczyłaś znaczny postęp.. mówisz daleko lepiej.

K A R O L I N A.

Oh czuję jednak, że nie możesz ze mną prowadzić tak rozmowy jak... z panią d'Alby na przykład.

H R A B I A. (*zmieszany*)

Z panią d'Alby.

K A R O L I N A.

Przy niej, przy twojej matce, jestem nie na swoim miejscu. Gdybyś wiedział jak potrzebuję towarzystwa takich osób, któreby mną

nie pogardzały!... Od cwili mojego zamężcia, nie widziałam żadnej z moich przyjaciółek, i wyznaję ci Arturze, że nie czekając twojego pozwolenia zaprosiłam jedną z kuzynek.

H R A B I A.

Co widzę! jedenasta... przebacz mi moja droga, muszę cię opuścić; jestem na śniadaniu z kilką przyjaciółmi, potem pojedziemy konno.

K A R O L I N A.

Zapewne do lasku Bulońskiego? i kobiety także konno jeżdżą. Pani d'Alby?...

H R A B I A.

Tak, podobno... Ale do widzenia, musisz być utrudzoną, spocznij sobie aż do mojego powrotu.

SCENA XV.

KAROLINA. (*sama*)

Odchodzi!... Nie wiem z kąd ta niespokojność; kocha mię!... jestem pewna!... gdyby był prznosił panią d'Alby, byłby ją zaślubił. Dla czegoż więc to imię tyle mi cierpienie sprawia? Tak, mnie, mnie samą tylko kocha!... ah gdybym przestała mu być miłą... Ale oddalmy te smutne myśli; trzeba się zająć moim ubiorem.

Kuzynka Dutour przyjdzie pewnie wcześniej; cieszę się że ją zobaczę, że będę mogła z nią pomówić. (*dzwoni, służąca wchodzi*) Zofio, przygotuj wszystko do ubrania.

SCENA III.

KAROLINA. P. DUTOUR, ZOFIA.

P. DUTOUR. (*za sceną*)

Nie anonsujcie mię; jestem pani Dutour, krewna pani hrabiny. (*wchodząc*) Jakże się masz moja kuzynko; jak ci się powodzi.... jakże zdrowie?..

KAROLINA. (*ściśkając ją*)

Dziś, nie źle..

P. DUTOUR.

Ah! przychodzę ci podziękować za uprzejmość zaproszenia mię na cały dzień.

KAROLINA.

Jakto, czy nie możesz?.....

P. DUTOUR.

I owszem, tylko będę musiała opuścić cię na godzinę, interes domowy, dla tego przyszłam tak wcześniej. Dawne przyjaciółki mają tyle opowiadać sobie, zwłaszcza, po

tak długiem niewidzeniu. Od trzech miesięcy waszego pobytu w Paryżu twój mąż Pan d'Aiglemont, mój kuzyn, nie starał się wcale widzieć ze mną. Nakoniec powiedziałam sobie, muszę się z nim zaznajomić, ponieważ to mój kuzyn, było mi bardzo przykro, mieć kuzyna hrabiego, tak bogatego i nieznac go. Bo nie widziałam jeszcze twojego męża?... czy przystojny?

A A O O L I N A.

Bardzo przyjemny. (*Zofja wnosi suknię*)

P. D U T O U R.

Tém lepiej, to nie zawsze z korzyścią... (*przypatruje się sukni*) Bardzo ładna, prześliczna suknia! Ktoby był powiedział, że ty będziesz kiedy hrabiną i mieć tak śliczne ubiorry!... (*wzdycha*) Jakżeś szczęśliwa kuzynko!... Ale jak uważam nabrałaś powagi... nie masz twojej wesołości.

K A R O L I N A.

Nie jestem bardzo zdrowa.

P. D U T O U R.

Czyż można być słabym kiedy kto ma sławnych doktorów, czas do zajmowania się swoim zdrowiem, i serce pełne radości!

KAROLINA (n. s.)

Serce pełne radości!

P. D U T O U R.

Nie dla tego mówię, żebyś się uzalała, Bogu dzięki, nie mam przyczyny być smutną, jestem wdową, a mój handel idzie dosyć dobrze.

KAROLINA (n. s.)

Jakie wyrażenia, co za mowa... czy ona taką i dawniej była?

P. D U T O U R.

Jak dawno nie widziałaś naszego krewnego Piotra Moulin.

K A R O L I N A.

Od mojego powrotu do Paryża.

P. D U T O U R.

Nie wiesz moja kochana, to już nie ten sam człowiek, dni i noce pędzi nad książkami, pracuje, uczy się, dla tego już został starszym sierżantem... już nie jest tak niezgrabny, nawet można mówić już dosyć ułożony.. Śliczny człowiek. chciano go ożenić, ale odmówił, widać że serce jego zajęte. Powiedz mi moja kuzynko, dla czego matka twojego męża wzgardziła mojemuś usługi, kiedy Pani d'Alby przed chwilą nawet mówiła do mnie: «u Pauli Dutour są najlepsze rękawiczki.»

KAROLINA.

Pani d'Alby.

P. DUTOUR.

Ona mię nigdy nie opuszcza, a potem jej garderobiana jest moją przyjaciółką.

KAROLINA (*n. s.*)

Jej garderobiana.

P. DUTOUR.

Sliczne miejsce, bardzo korzystne... Pani d'Alby jest wspaniałą... (*do Zofji*) Uśmiechasz się, pewno i ty nie masz przyczyny uzalać się na swoją panie.

KAROLINA (*zajęta ubraniem*)

Biedna Zofja... przypominasz mi, że jej od dawna nic nie dała. Weź to (*dając jej chustkę na szyję*)

ZOFJA.

Pani hrabina zbyt dobra.

P. DUTOUR.

Bardzo piękna chustka *ternaux* z palmami (*Zofja wychodzi*) Ale wiesz moja kuzynko to za nadto dawać tak kosztowną chustkę.

KAROLINA.

Czy chcesz mi uczynić wielką przyjemność?

P. D U T O U R.

Oh mój Boże!

K A R O L I N A.

Noś na pamiątkę odemnie ten złoty łańcuch....

P. D U T O U R.

Dziękuję ci moja kuzynko, dopieroż to będą gadać moje przyjaciółki, gotowe powiedzieć, że go dostała od pana Benoit.

K A R O L I N A.

Któż jest ten pan Benoit?

P. D U T O U R.

Młody człowiek, bardzo przyjemny. Prowadzi proces, i najęłam mu pokoik umeblowany za 30 franków miesięcznie. Co też o tym gadają? co za domysły?

K A R O L I N A.

Czy tak?

P. D U T O U R.

Ale ja śmieję się z ich gadania, bo wiem że nikt plotek ujść nie może. Ośmielili się nawet z tym dać słyszeć, że p. Benoit nie płaci nigdy za swoje mieszkanie, a jednakże nie mieszka darmo. Ale ja pogardzam tą obmową! jakby nie wolno było przyjąć ręki lokatora, aby nam towarzyszyła na przechadzce?

Czy wielkie panie nie mają także swoich adonisów?...

KAROLINA.

Nie wiem o tem.

P. DUTOUR.

Ale ja wiem, prawda, że każdy z nich nie długo się tem szczęściem cieszy, często ich zmieniają, tak jak mody... ale kiedy mają na to sposoby... lepiej zawsze mieć nową suknię.... Na przykład pani baronowa d'Alby, już od dwóch miesięcy zawsze ją widzę z jakimś...

KAROLINA.

Doprawdy! Opowiedzże mi...

P. DUTOUR.

Widziałam ich nie raz, ładny człowiek... a nawet wczoraj, gdy baronowa wybierała wstążki, on przyniósł jej przepyszny bukiet kwiatów naturalnych, w które na bal ubierać się miała. I dziś rano mówiła mi garderobiana, że o trzeciej dopiero wróciła do domu.

KAROLINA. (*wzdychając*)

Muszą zapewne codzień bywać na zabawach.

P. DUTOUR.

O nie, nie codzień; ale jeżeli nie idą bawić się, siedzą do późna, ten młody jegomość

przychodzi, baronowa gra na harfie, śpiewają, czytają razem, rysują.

KAROLINA.

Tak, mając te same gusta, talenta, mogą nie nudząc się, czas przepędzać; gdyby się pobrali, byliby szczęśliwi. Oh jakżebym się cieszyła, żeby pani d'Alby za mąż poszła.

P. DUTOUR.

Ty! cóż ciebie obchodzić może?

KAROLINA. (*miarkując się*)

Mnie!. ale... bo ty kochana kuzynko do-brzebyś wyszła na tém.

P. DUTOUR.

Dziękuję ci za życzliwość.... O, zdaje się, że są w bardzo ścisłej przyjaźni.

KAROLINA.

Ale któż ci powiada to wszystko?

P. DUTOUR.

Jej garderobiana.

KAROLINA.

Czy nie wiesz jak się ten pan nazywa?

P. DUTOUR.

Nie przyszło mi spytać się o to; ale jeżeli chcesz wiedzieć?...

KAROLINA.

Oh nie.... Zdaje mi się, że słyszę głos mojego ojca.

SCENA IV.

P. DUTOUR, BERTRAND, KAROLINA, PIOTR.

KAROLINA! (*biegnąc do ojca*)

Ah mój ojczy!... widzę cię przecie!... Już piętnaście dni nie widziałam cię.

B E R T R A N D.

To prawda; ale moje dziecię nie gniewaj się na mnie...

P I O T R.

Pani hrabino.....

K A R O L I N A.

Ah pan Piotr... cieszę się że go widzę...

B E R T R A N D.

Ledwom go wciągnął; nie chciał tu przyjść, ale kiedy kto ma prosić o co ludzi....

K A R O L I N A.

Czy mogę być wczem użyteczną?

B E R T R A N D.

Napisał list do swojego pułkownika, a ja pomyślałem sobie, że twój mąż zechce dopisać kilka słów. Oh, bo nasz pan Piotr daleko zajdzie. Karolino, przypatrzo mu się tylko. Już jest starszym sierżantem, i założylbym się, że będzie oficerem. Ale bo też jak się prowadzi.

P I O T R.

Czegóż się nie czyni, aby zyskać pochwałę

osób, które nasz los zajmuje?.... Jest to zbyt boleśnie, kiedy się nas wstydić muszą ludzie których kochamy.

K A R O L I N A.

Oh prawda to jest zbyt boleśnie.

P I O T R.

Jeszcze nie wiele postąpił, ale przy wytrwałości, pracy, mam nadzieję... Ah gdybyś mi pani nie odmawiała rad swoich, gdyby mi czasem wolno było widzieć.

K A R O L I N A.

Zawsze z przyjemnością będziesz widzianym, nie wątpisz przecie o mojej przyjaźni.

P I O T R.

Pragnę na nią kiedyś zasłużyć.

B E R T R A N D.

A zatem wspomnisz twojemu mężowi o jego liście i o przypisaniu się.

K A R O L I N A.

Bądź pewny mój ojczu.

B E R T R A N D.

A więc przyniosę ci natychmiast.

SŁUŻĄCY. (wchodząc)

Pan de Monval.

KAROLINA. (n. s.)

W jakiejż to chwili? (głośno) Powiedz, że nie jestem w domu.

P. D U T O U R.

I dla czegoż moja kuzynko.

B E R T R A N D.

Jakto po pańsku.. nie jestem w domu.

K A R O L I N A.

To dla was jego obecność przeszkodzi-
łaby...

P. D U T O U R.

Wcale nie.. Jeżeli dobrze pamiętam, zna-
łam p. de Monval.. Gdyby to on był?.. po-
zwól mu wejść kuzynko..

K A R O L I N A.

Ale...

B E R T R A N D.

Jeżeli ja ci przeszkadzam, to pójdę precz.

K A R O L I N A.

Mnie przeszkadzasz.. ty mój ojciec... (*do słu-
żącego*) Prosić.

P I O T R. (*n. s.*)

Czego chce ten pan de Monval?

SCENA V.

B E R T R A N D, P I O T R, P. D U T O U R, M O N V A L.

K A R O L I N A.

M O N V A L.

Nie mogłem minąć zamku pani hrabiny, nie
dowiedziawszy się o jej zdrowiu. Przebacz
mi pani, że tak rano ośmieliłem się ją od-
wiedzić.

P. D U T O U R.

To on... czy pan de Monval mię nie poznaje.

M O N V A L.

Ah, pani Dutour.

P. D U T O U R.

Ona sama, już dawno nie miałam szczęścia widzieć pana...

K A R O L I N A.

Mąż mój wyszedł, pan zapewne chciałeś się z nim widzieć!

P. D U T O U R.

Ślicznie tak zapominać dawnych znajomości. Rozumiem co to znaczy, dziwi pana, że mię znajdujesz w tym pięknym zamku; ale ponieważ jestem krewną...

M O N V A L. (*uśmiechając się*)

Krewną zamku!... (*widzi pomieszanie Karoliny*) Wiem, że pani jesteś krewną pani hrabiny, i proszę wierzyć, że wszelkie względy...

P. D U T O U R.

Cóż pan o względach mówisz, czy zapomniałeś naszych wiejskich zabaw z Fanny i Malwiną?

K A R O L I N A. (*n. s. niecierpliwiąc się rzuca flakonik*)

Jakie męczarnie!

PIOTR. (*do p. Dutour chcąc ją zmusić do milczenia*)

Pani Dutour!...

P. D U T O U R.

Kuzynko, co tobie jest? (*podejmuje flakonik*) Bardzo ładny.. ale czemu takich przedmiotów nie kupujesz u mnie; jabym taniej sprzedała.

KAROLINA. (*zniecierpliwiona*)

To mój mąż...

P. D U T O U R.

Powiedz mu żeby u mnie kupował, lepiej, że zysk zostanie w kieszeni twojej kuzynki jak u kogo obcego.

KAROLINA, (*n. s.*)

Ileż cierpię!

P I O T R.

Panie Bertrandzie, ponieważ pani hrabina przyrzekła zająć się moim listem, gdybyś chciał pójść ze mną, oddałbym natychmiast. Pani Dutour jeżeli się oddasz, racz przyjąć moje usługi.

P. D U T O U R.

Dziękuję, dziękuję, przyjmuję jego grzeczność. Spieszę też ukończyć interes, o którym

ci wspominałam. moja kuzynko, ale najpóźniej za godzinę będę z powrotem. Panie Moulin po dajże mi rękę.

B E R T R A N D.

Do widzenia moja córko. (*odchodzi*)

SCENA VI.

MONVAL, KAROLINA.

KAROLINA (*zamyślona*)

M O N V A L.

Pani.....

KAROLINA (*n. s.*)

Jak ona jest gminna... dawniej nie dostrzegłam tego.

M O N V A L.

Nie słyszy mię.

KAROLINA (*n. s.*)

Jeżeli i ja tak gminną się wydaję mojemu mężowi, jak ona mnie.

M O N V A L.

Pani!....

K A R O L I N A.

Ah przepraszam pana!..

M O N V A L.

Oddawna pragnąłem z panią otwarcie pomówić; przebaczysz szczerości przyjaciela.—

Upewniam cię pani, że koniecznie bawić się powinnaś, bo masz tajemne cierpienia..

K A R O L I N A.

Dobry sposób... Ale pan jesteś w błędzie, nie mam żadnych cierpień i nie myślę | o zabawie.

M O N V A L.

Bardzo źle, są kobiety, które nudy uważają za cnotę... ja przeciwnie utrzymuję... Wynagradzać sobie przykrości życia, jest mądrość prawdziwa, mądrość moja.

K A R O L I N A.

Cóż pan przez to rozumiesz?

M O N V A L.

Że już czas porzucić samotne życie wśród Paryża; że trzeba zwiedzać świat... przyjmować u siebie towarzystwa...

K A R O L I N A. ;

I kogóż to?....

M O N V A L.

Hrabina d'Aiglemont, młoda, piękna i bogata, potrzebuje tylko wybrać sobie towarzystwo... jest równą wszystkim.

K A R O L I N A.

Ja... nie, nie, ja nikomu już nie jestem równą.

M O N V A L.

Nie rozumiem.

KAROLINA (n. s.)

Artur mię kocha, a jego miłość jest dla mnie wszystkiem.

MONVAL.

Jakże szczęśliwy (n. s.) Zostawmy ją w błędzie.

KAROLINA.

Nie chcę już myśleć o tym wielkim świecie, nie godzien mojego żalu. Lecz jeżeli pan wejdiesz w śluby małżeńskie...

MONVAL.

Ja... nie myślę o tem wcale.

KAROLINA.

Ja myślę o tem za pana.

MONVAL (z uśmiechem)

Ty Pani? Może mi pani nawet i żonę wybrałaś.

KAROLINA.

Pan się śmiejesz?... nie żartuję; myślałam o baronowej d'Alby.

MONVAL.

Pani d'Alby! Gdybym myślał o ożenieniu, pani d'Alby nigdyby mię nie zajęła.

KAROLINA.

Ah tak... prawda! mówiono mi... przypominam sobie...

MONVAL. (z żywością)

Cóż mówiono pani?

KAROLINA.

Ale to są zapewne powieści bezzasadne: utrzymują, że jakiś młody człowiek jest nią bardzo zajęty; ale pan łatwo otrzymasz pierwszeństwo.

MONVAL.

Wcale się o nie ubiegać nie myślę; ta której dobre imie nie jest zupełnie bez plamy, nigdyby żoną moją być nie mogła.

KAROLINA.

Możeż to być?... nie, nie, to nie podobna... Hrabina d'Aiglemont, matka mojego męża, sama ją wybrała dla swojego syna przed naszym połączeniem.

MONVAL.

Wtenczas, nic o niej nie można było powiedzieć, ale potem....

KAROLINA.

Ah!

SCENA VII.

MONVAL, HRABIA, KAROLINA.

HRABIA.

A jak się masz kochany Monval, nie spodziewałem się zastać cię tutaj. Spacer był

przepyszny, dziwiono się powszechnie, że nie należałeś do naszego grona. (*Karolina siada po lewój.*)

M O N V A L.

W istocie? wiedzą wszyscy jak jestem wielkim miłośnikiem wiejskiego życia; ale mój nowy powóz na jutro dopiero będzie gotów. Cztery konie angielskie, które biegały w Ep-som. Jak tylko nastaną dni piękne, nie opuszczę lasku, samotność jest mojem upodobaniem.

H R A B I A.

Któż o tem nie wie?

M O N V A L.

§ Na honor sam siebie nie poznaję; przeszło godzinę mówię rozsądnie. Nawet pani Hrabina znalazła mię już tak poważnym, że sądzi mię być godnym zaszczytu męża?

K A R O L I N A.

Czyż nie prawda, że p. Monval bardzoby dobrze uczynił, gdyby się ożenił?

H R A B I A.

Dla czegoż nie?

M O N V A L.

Ah, potwierdzasz tę myśl? lecz gdybym ci wymienił kobietę którą mi przeznaczają...

H R A B I A.

Kogóż więc?

K A R O L I N A. "

Myślałam o baronowej d'Alby.

H R A B I A.

O baronowej!...

M O N V A L.

Jakże, radzisz mi iść za zdaniem twojej żony?

H R A B I A.

Dziwny pomysł chcieć zenie ludzi.. Czego się w to mieszać?..

K A R O L I N A. (*wstaje*)

Dla czegoż się gniewasz?... Arturze! przyznaję, kiedy wspomniałam panią d'Alby, zapomniałam o tem, co ludzie o niej mówią.

H R A B I A.

Cóż mogą mówić o niej?... Ja bronić jej będę przeciw wszelkiej potwarzy.

M O N V A L. (*n. s.*)

Strzaskał mi prawie jedną nogę za żonę; chciałżeby strzaskać drugą za kochankę?

K A R O L I N A. (*n. s.*)

Nie pojmuję co znaczy ten gniew. (*głośno*)
Nikt jej nie obwinia: przypadkiem tylko dowiedziałam się....

HRABIA. (*niespokojny*)

O czém?... czegoś się dowiedziała.

KAROLINA.

Ze pani d'Alby przyjmuje grzeczności jakiegoś młodego człowieka; ale ona będąc wolną, zapewne pójdzie za niego.

HRABIA. (*n. s.*)

Nic nie wie. (*głośno*) Któż ci powiedział, że kocha kogoś?

KAROLINA.

Oh wiem o tem... Ale nie podzielałam krzywdzących podejrzeń. Jeżeli baronowa widuje często tego, którego kocha, więcej pochwały niż nagany godna.

MONVAL. (*n. s.*)

Biedna kobieta!

KAROLINA.

Nim się połączą wiecznemi węzłami, poznają się dokładnie, czy małżeństwo to będzie dobrane, jak ona szczęśliwa! Ten, którego kocha nigdy się przy niej nie znudzi.

HRABIA. (*strwożony*)

Karolino!

KAROLINA.

On to wczoraj zawiózł ją na ten bal, gdzie

ją widziałeś; mówileś mi że jej składano hołdy, jakże go to cieszyć musiało? Szczęśliwa, nie potrzebuje lękać się szyderstwa, bo ją znakomite imię osłania. Jej kochanek nigdy nie będzie żałował, że się z nią połączył. Widząc ją tak piękną i wielbioną powszechnie, serce jego będzie biło z radości, nakoniec nigdy jej obecność w towarzystwie nie zarumieni go!... Czy pojmujesz jak ona szczęśliwa!

HRABIA. (*n. s.*)

Co za męczarnia! (*głośno*) Ale mylisz się, to wszystko są urojenia: w baronowej nikt się nie kocha.

KAROLINA.

Wiem z pewnością co mówię.

HRABIA. (*drżący*)

Jakto?...

KAROLINA.

Tak, tego poranku jeszcze, garderobiana baronowej opowiadała...

HRABIA.

Ale podobne podstrzeżenie jest ohydne.

KAROLINA.

Nie gniewaj się mój mężu... Cóż to nas wreszcie obchodzić może?

SCENA VIII.

MONVAL, HRABIA, KAROLINA, P. DUTOUR.

P. DUTOUR. (*za sceną*)

Powtarzam jeszcze raz, nie trzeba mię a-nonsować.

KAROLINA (*n. s.*)

Boże! pani Dutour!

HRABIA.

Cóż to za głos?

KAROLINA.

Moja kuzynka.

HRABIA.

Ah..

P. DUTOUR. (*wchodząc*)

Widzisz kuzynko, zem się nie długo bawiła.

HRABIA. (*n. s.*)

Boże... czy to nie jest ta kupcowa?...

P. DUTOUR. (*lekkomyślnie*)

A!.. to ten młody człowiek, o którym ci dziś rano mówiłam.

KAROLINA.

Co mówisz?

P. DUTOUR.

Cóż ci jest kuzynko?

KAROLINA. (*z gwałtowném wzruszeniem*)

Dokończ... dokończ... pani d'Alby... ten młody człowiek, który jest ciągle przy niej.....

P. D U T O U R.

Widzisz go przed sobą.

KAROLINA. (*z krzykiem przeraźliwym*)

Ah! mój mąż! (*upada*) Umieram!

P. D U T O U R.

Jéj mąż!

H R A B I A.

Karolino!

KONIEC TRZECIEGO AKTU.

AKT IV.

(Scena przedstawia salon w zamku Hrabiego d'Aiglemont. Drzwi w głębi i boczne.)

SCENA I.

HRABIA *(sam siedzi zamyślony)*

Rozłączenie!... tak; koniecznie: to położenie nieznośne. Ach, moja biedna matka prawdę mówiła. Umarła objawiając mi to, co się teraz wydarza, i może związek mój skrócił i tak zbyt szczupły zakres jej życia. Od dwóch lat jak zostałem mężem tej młodej dziewczyny, której nie chciała przyjąć, czyliż doznałem chwili szczęścia?... Nie... Odmienne myśli, zwyczaje, odmienny sposób widzenia rzeczy, nie obdarzają szczęściem w połączeniu ślubnym!.. Znużony tą ciągłą niestosownością, błądziłem!... A kiedy wracałem; któż wyrazi przykrość, a wreszcie nudy jakich się doznaje widząc kobietę smutną, bladą i świeże łez ślady!... A jej ojciec?... Nie mówili nic ani jedno ani drugie!... Ale jakież milczenie! Jak znieść obojętnie tę niemą rozpacz, która

nię obwinia? Biedna Karolina!.. od roku jak poznała moje błędy, może godzinę przepędziliśmy razem!... Pod jednym dachem żyjemy nieznani jedno dla drugiego; cóż mamy sobie powiedzieć?... Ah jej ojciec prawdę mówi; trzeba zmienić ten stan rzeczy. (*opiera głowę na rękę.*)

SCENA II.

BERTRAND, HRABIA.

BERTRAND (*wchodzi.*)

To on! Boże czemuż dożyłem tej chwili? dla czegoż wtenczas kiedym mu życie ocalił.. nie zostałem na miejscu?...

HRABIA.

Kto tam... ah to ty! (*wstaje*)

BERTRAND.

Przychodzę...:

HRABIA. (*chcąc wyjść*)

Innym razem, dziś... nie mogę...:

BERTRAND (*z mocą*)

Zatrzymaj się dowódzco... nie! nie, w tej chwili... już dosyć długo cierpiełem mości hrabio... jestem ojcem, Karolina jest jedynym mojem dobrem.

HRABIA.

Jeszcze wyrzuty!...

B E R T R A N D,

Wyrzuty!... Nigdy, mój dowódzco... wyrzuty byłyby nie w porę. Przyszedłem tylko pomówić w wiadomej sprawie.

H R A B I A.

W jakiejże?

B E R T R A N D.

Względem... ah Boże!... względem... rozłączenia się z Karoliwą.

H R A B I A.

Ah!...

B E R T R A N D.

To nie mogło trwać długo, ja mówiłem to, byłem tego pewny, ale kiedy człowiek taki jak wy co przedsięwzięcie, trudno sprzeciwić się!...

H R A B I A.

Nie mówmy o tem!

B E R T R A N D.

Oh poznaję *dobrze* mój dowódzco, nasz widok stał ci się przykrym... uwolnimy cię wkrótce. Wrócimy spokojnie, z czystym sumieniem do skromnej chaty, z żalem żeśmy ją opuszczali... nie zobaczysz łez naszych, nie usłyszysz ani narzekań, ani jęków boleści; nie dojdą cię skargi nieszczęśliwych; w ustroju naszym modlić się będziemy dowódzco!

abyś w przyszłym twoim związku mógł być szczęśliwym... chociaż Bóg świadkiem, twoje troski nie z naszej winy.... (płacze) Jeżeli płacę w tej chwili, to nie dlatego, abym ci złorzeczył dowódzco, żeś mi zatruł późną starość, wydarł jedynemu dziecku najwyższe dobro, spokojność, ale dla tego, że przywiązany do was Bertrand widzi twoje cierpienia... Ale wkrótce się zakończą... uprowadzę ztąd córkę... dziś wieczór wyjedziemy... aby cię już nigdy nie widzieć.

H R A B I A.

Dziś w wieczór!

B E R T R A N D.

Karolina nie wie o niczem. Kiedy przed trzema miesiącami, przybyłem żądać waszego upoważnienia, wyznaję, że jeszcze miałem nadzieję. Formalności potrzebują czasu, a w waszym wieku, w trzech miesiącach nieraz się myśl zmieni!... Mogło to nastąpić... ale nie! Widziałem dobrze... ani najmniejszej chęci powrotu, gdybyś z nią był pomówił.... Teraz już się wszystko skończyło; a jednakże jeszcze jej nic nie powiedziałem. Kochała cię z taką mocą!...

H R A B I A.

Cóż więc?

B E R T R A N D.

Oto, jeżeli pozwolisz, dla oszczędzenia wam widoku łez mojej córki; uwiozę ją ze sobą pod pozorem odbycia małej jednomiesięcznej podróży.

H R A B I A,

Co pół roku odbierać będzie umówioną sumnę.. pragnę aby była szczęśliwą.. gdyż ja nie żałę się.. i nigdy nie miałem prawa użalania się na nią. Prawda, że nasz związek jest niestosowny.

B E R T R A N D.

Przewidywałem to!.. pozostaje mi tylko teraz prosić cię hrabio, abyś podpisał ten akt sporządzony przez prawników... oto jest...

H R A B I A.

Daj.. ah dobrze. (*idzie do stołu*)

B E R T R A N D. (*ocierając łzy*)

Podpisał... Boże... ani chwili zastanowienia. (*hrabia oddaje papier*) Dziękuję, dziękuję ci dowódzco... oto nagroda najszczęśliwszego przywiązania i miłości!...

H R A B I A.

Bertrandzie!...

(*Bertrand odchodzi*)

SCENA III.

HRABIA. (*sam*)

Biedny Bertrønd... Ah nie myślmy już o tem ;
Karolina odzyska wolność... ja także.

SCENA IV.

KAROLINA, HRABIA.

KAROLINA. (*wchodząc z prawej strony w rannym ubiorze, spokojna, więcej wesola jak smutna*)

Zdawało mi się że słyszała głos mojego ojca. A, to ty Arturze.. Cieszę się, że cię widzę; chciałam cię właśnie prosić o chwilę rozmowy, bo wyjeżdżam na cały miesiąc, czy nie masz mi co powiedzieć, czy zdrowie twoje?.. Od niejakiego czasu zdajesz się być cierpiącym, jeżeli moje starania, mogą ci być użyteczne, nie pojedę, jakakolwiekby rokosz ta podróż sprawić mi miała.

H R A B I A

Czy cię ten wyjazd cieszy?

K A R O L I N A.

- Przyznaję, że z rokoszą wracam na wieś.
Już od roku bawię w stolicy... Nie jest to wyrzut... wiem, że nie mogłeś powrócić ze

mną do wiejskiej zaciszy, nudziłeś się w niej dosyć pierwszego roku naszego małżeństwa.

H R A B I A.

Samotność nie przestrasza cię?

K A R O L I N A.

W stolicy do niej nawykłam, i umiałam wynaleźć zatrudnienia które mi je uprzyjemniają. Zresztą, nie będę sama: mój ojciec, mój kuzyn Piotr i pani Dutour będą przy mnie.

H R A B I A.

Pani Dutour! osoba tak pospolita!

K A R O L I N A.

Dała mi wiele dowodów przywiązania; pocieszała mię w dniach mojego nieszczęścia. dobrocią serca osłania prostotę.. a potem nie mam prawa być trudną w wyborze towarzystwa.

H R A B I A.

Nie powinnaś się z nią równać!.. co za różnica!.. *(patrzy nań z uwagą)* Ale co za zmianę postrzegam w twojej postaci.. w istocie ta świeżość.. wesołość...

K A R O L I N A.

Cierpiałam... wiele... Ale nakoniec rozważa...

H R A B I A.

Rozwaga!

K A R O L I N A.

Tak jest; miłość i cierpienie, są to dwa nie wyczerpane źródła myśli naszych. Umysł mój oświecił się, a serce wzmocniły przeciwności; teraz dopiero poznałam prawdziwą wartość życia. Urojenia, przyjemne przeciwstojenia rzeczy, uwodzą biedny rodzaj ludzi, postępujemy za nimi, idąc snu śladem sądzimy, że jesteśmy bliżcy kresu tej drogi, że widzimy już szczęście które nam dłoń przyjazną podaje. Gdy tymczasem to szczęście ciągle od nas ucieka.. a więc nie mogąc go doścignąć, zbierajmy przynajmniej kwiat pojęchy na tej drodze; aby jakikolwiek zysk odnieść za nasze starania.

H R A B I A.

Wi stocie myślisz filozoficznie.

K A R O L I N A.

Cóż chcesz Arturze, te myśli są ostodą moich cierpień. Długo inne obarczały moją duszę, bez przerwy, nieodstępne na chwilę, czego były dowodem oczy ciągle napelnione łzami. Teraz czytanie, powab wioski, przyjaźń, kwiaty, nęcą mię swojemi wdziękami. Dzięki twojej troskliwości, mogę czynić cokolwiek

dobrego biednym, błogosławią mię, są nawet ludzie którzy mię jeszcze kochają.

R R A B I A.

Ah!

K A R O L I N A.

Pobłażają moim błędom. To wszystko tworzy byt przyjemny, słodki, mówię sobie: nikomu nic złego nie uczyniłam!.. W istocie czuję, że już nie jestem nieszczęśliwą, i dla tego obawa znika z mojej duszy.

H R A B I A.

Czy tak?

K A R O L I N A.

Prawda, że różnimy się jeszcze naszym sposobem widzenia; ja szukam szczęścia w cichem ustroniu, w sereach ludzi czuć umiających, ty Arturze, widzisz je w okazałości, w głośnych okrzykach...

H R A B I A. *(ze smukiem)*

Moje szczęście!...

K A R O L I N A.

Mamże ci wyznać Arturze, teraz mogę ci śmiało powiedzieć: nie zawsze mogłam się szcycić podobnym sposobem myślenia. Pamiętasz, kiedy mię wprowadzałeś do tych świetnych salonów, jak w ówczas ten blask,

bogactwo ubiorów, wdzięk muzyki, nawet mój własny strój, zajmowały mię niewymownie, mnie, biedną dziewczynę, która nigdy nic podobnego nie widziała? Ah gdybym w pośród tego czarownego złudzenia, spotkała była twoje wejrzenie, z rozkoszą na mnie zwrócone, miłości pełne, byłabym najszczęśliwszą. To miejsce byłoby dla mnie pobyttem rozkoszy, ale moja obecność zmuszała cię rumienić się za mnie, oko twoje szukało innego przedmiotu, droższego sercu twojemu. (*hrabia czyni poruszenie*) Nie, nie mówmy już o tem: już ten czas przeminął, przebac mi Arturze, nie zasmuczaj się. Cierpienia zniknęły, nie znam ich, dni moje upływają w spokoju; oby twoje jaśniały okazałością!.. Niczego nie pragnę.. niczego nawet nie żałuję.

H R A B I A.

Ciebiez ja slysze mówiącą? Karolino, twoje uczucie i myśli każdej kobiety byłyby zaszczytem.

KAROLINA. (z uśmiechem)

Od dwóch lat, pierwszy raz zwróciłeś na mnie uwagę, i słuchasz mię mówiącej.

S Ł U Ź A C Y.

[Pan de Monval.

K A R O L I N A.

Oddalam się; mam poczynić niektóre przygotowania do wyjazdu....

H R A B I A.

Ale wieczór dopiero odjedziecie, myślę, że się jeszcze zobaczymy.

K A R O L I N A.

Nie odjadę bez pożegnania się z tobą (do Monvala) Żegnam.

M O N V A L.

Co słyszę?.. któż odjeżdża?

KAROLINA. (wychodzi na prawo)

SCENA V.

HRABIA, MONVAL.

MONVAL. (n. s.)

Odjeżdża!....

HRABIA. (n. s.)

Nigdy mi się jeszcze tak piękną nie wydawała. (głośno) Cóż ci jest mój przyjacielu?.. smutny, zamysłony... ty, coś był dawniej tak

wesołym, żartowałeś ze wszystkiego. Mówią,
i bez wzdrygnięcia powtórzyć nie mogę...

M O N V A L.

Cóż takiego?

H R A B I A.

Ze to miłość. (*Monval wzdycha*) No to
już się skończyło, zginąłeś na wieki. Jakże?
powiedz mi, źle cię przyjmuje? musi być ko-
kietka!.. pełna kaprysów..

M O N V A L.

Nie kobieta, której nigdy najłżejszy nawet
błąd nie splamił, która nie ma wyobrażenia
co to jest upokorzyć rywalkę, lub wzbudzić
podziwienie; której szlachetna dusza nie poj-
muje tego nawet, aby kto mógł widzieć w niej
najcnotliwszą i najpiękniejszą z kobiet.

H R A B I A.

No proszę, ja szukałem, szukałem...

M O N V A L.

To prawda, twoje wyszukiwania były bar-
dzo liezne....

SCENA VI.

CIŻ SAMI, P. DUTOUR.

P. D U T O U R.

Przebaczcie mi panowie, sądziłam że tu
znajdę moją kuzynkę, przeszkadzam panom...

Ale nie gniewaj się mości hrabio, to już raz ostatni, ponieważ Karolina dziś jeszcze ten dom opuści i nigdy do niego nie wróci.

M O N V A L.

Nigdy nie wróci?

P. D U T O U R.

Ah pan jeszcze nie wiesz o postępkach pana hrabiego? nie wiesz że wszystko już się skończyło, dzisiejszego rana podpisał akt rozwodowy.

M O N V A L.

Arturze... byćże to może? rozwód z Karoliną!

H R A B I A.

Wszystko stało się za zobopólną zgodą; ten związek był szaleństwem młodości, jej i moim nieszczęściem; uczuliśmy to oboje. Wkrótce prawo wróci nam zupełną wolność, i każde z nas pomyślniejszą przyszłość obrac sobie będzie mogło.

P. D U T O U R.

Jeżeli rozwód nastąpi, moja kuzynka znajdzie nie jednego pretendenta, ja sama znam....

H R A B I A.

Jakto?

P. D U T O U R.

Tak jest, znam. I cóż tu w tem dziwnego?

H R A B I A.

Zdawało mi się że spojrzalas na Monvala, i gdybym nie wiedział co się dzieje w jego sercu, mógłbym sądzić...

M O N V A L.

Jakiegokolwiek uczucie włada mojem sercem, bądź pewnym: że miłość choćby najgwałtowniejsza nie przywiodłaby mię do zdrady obowiązków przyjaźni, i że tylko wolność sama tej którą kocham, mogłaby mię naklonić do zerwania milczenia.

H R A B I A. (*zamyślony*)

Jej wolność.

M O N V A L.

Żegnam cię Arturze. (*n. s. odchodząc*) Rozwodzą się!..

SCENA VII.

H R A B I A, P. D U T O U R.

H R A B I A. (*pogrążony w myślach*)

Ta kobieta którą Monval przynosi nad inne... którą w milczeniu uwielbia oddawna.. by-
łaby to Karolina?

P. D U T O U R.

Dla czegożby nie?...

H R A B I A,

On odważa się ją kochać... i ty śmiesz mi to wyznawać!

P. D U T O U R.

O cóż idzie?.. już ona do ciebie nie należy p. Hrabiol!... niczem jest w twojch oczach!

H R A B I A. (*n. s.*)

Miałaby Karolina kochać go nawzajem? Muszę widzieć się z Monvalem i wyjaśnić moją wątpliwość. (*wychodzi*)

SCENA VIII.

P. D U T O U R. (*sama*)

Ah to go dręczy.. A nie wie co go czeka; pani Baronowa d' Alby dla której on poświęcił Karolinę, dziś opuszcza Paryż i zostaje żoną starego Księcia de St. Omer. Interes był dobrze prowadzony...

SCENA IX.

P. D U T O U R, K A R O L I N A.

K A R O L I N A.

Ah już jesteś.

P. D U T O U R.

Tak przyszedłam się dowiedzieć kiedy istotnie pojedziemy?

K A R O L I N A.

Za dwie godziny.

P. D U T O U R.

Dobrze, wydam jeszcze niejakię rozporządzenia w domu i wrócę przed naznaczonym czasem. (*odchodzi*)

SCENA X.

KAROLINA, SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY. (*wchodząc*)

Pan de Monval, dowiedziawszy się o blizkim wyjeździe pani hrabiny, prosi usłnie o pozwolenie wejścia.

K A R O L I N A.

Proś.

SCENA XI.

MONVAL, KAROLINA.

M O N V A L.

Przebaczysz mi pani zapewne, że złamałem twój rozkaz, ale jej odjazd.....

K A R O L I N A.

Nie na długo; za moim powrotem.....

M O N V A L.

Miesiąc... krótka podróż... gdy cię pani już nie mam widzieć więcej; gdy w przeciągu tego czasu...

K A R O L I N A.

I cóż?...

M O N V A L.

Wypadki mogą zmienić stan rzeczy.

K A R O L I N A.

Co pan mówisz?

M O N V A L.

Czyliż nie dorożumiéwasz się pani, że wiem wszystko.

K A R O L I N A.

Cóż takiego?

M O N V A L.

Powziąwszy wiadomość, iż pani ten dom opuszczasz na zawsze....

K A R O L I N A.

Na zawsze?...

M O N V A L.

Ośmieliłem prosić cię pani o pozwolenie widzenia się z tobą. Kiedy wasze związki są zerwane!...

K A R O L I N A.

Zerwane....

M O N V A L.

Wszakże to wszystko stało się za jej zezwoleniem? Dla czegoż ta tajemnica?

KAROLINA. (*która zakryła twarz rękoma, jak gdyby dla zebrania myśli*)

Czekaj pan... Jaktó. (*biorąc z żywością za rękę pana Monval*) Czy prawdę mówisz panie Monval? Nie wiem co się stało.... Ja... miałabym już nie być żoną Artura... czy podobna!... Rozłącza się ze mną, i wszyscy już wiedzą o tém, ja tylko sama nic nie wiem jeszcze!....

M O N V A L.

Co słyszę? paani nie wiedziałaś!

K A R O L I N A.

Przebacz, przebacz mi panie. Zaledwie cię rozumieć mogę... tłum myśli ciśnie się tu. Jestem wolną... przestałam być żoną Artura, hrabi d'Aiglemont!

M O N V A L.

Twoje cnoty i wdzięki wywyższają cię tysiąckrotnie nad zaszczyty, które utracasz.

K A R O L I N A.

Jestem wolną.

M O N V A L.

Teraz możesz słuchać, możesz przyjąć głos miłości.

KAROLINA. (*jakby przychodząc do siebie*)

Panie de Monval, to co dopiero usłyszałam, nadaje nowe przeznaczenie mojemu życiu.

Przeszłość, za chwilę szczęścia, ukarała mię wiecznym cierpieniem. Panie de Monval, jeżeli wyznanie nieszczęśliwej Karoliny, ma jakąkolwiek cenę w oczach twoich, zapewniam cię, że wdzięczność i przyjaźń nigdy dla ciebie nie wygasną. Inne uczucie odtąd Bogu i ojcu poświęcę.

M O N V A L.

Żadnej nadziei.

SCENA XII.

HRABIA, KAROLINA, MONVAL.

HRABIA. *(za sceną)*

Niech powóz jeszcze zaczeka...

KAROLINA. *(spokojnie i z godnością)*

Już gotowy... Panie de Monval, żegnam cię!

M O N V A L.

Ah to pożegnanie jest nad siły. *(wychodzi)*

KAROLINA. *(do hrabiego)*

Pozwól mi hrabio oddalić się na chwilę. *(wchodząc do swojego pokoju, zatrzymuje się)* Panie d'Aiglemont, już mi teraz wiadomo, że cię widzę raz ostatni. *(otwiera drzwi)*

H R A B I A.

Karolino!...

K A R O L I N A.

Tak, już tylko jestem Karoliną Bertrand.

H R A B I A.

Pod tym nazwiskiem byłem od ciebie kochany.

K A R O L I N A.

I z tem nazwiskiem nie powinnam się była nigdy rozstawać.

H R A B I A.

Złorzeczysz więc naszemu małżeństwu?

K A R O L I N A.

Uczyniło cię tak nieszczęśliwym!

H R A B I A.

I tobie tylu cierpień stało się przyczyną.

K A R O L I N A.

Arturze, czy mię słyszałeś kiedy użalającą się.

H R A B I A.

Nie! ale twoja niema boleść sroższą była nad wyrzuty, twoje milczenie okropniejszem nad śmierć samą.

K A R O L I N A.

Już i tego widzieć nie będziesz.

H R A B I A.

Co za oziębłość!... Jakto! w chwili kiedy mamy się rozłączyć na wieki, nie nie masz mi powiedzieć?

K A R O L I N A.

Nic!

H R A B I A.

I w ten sposób rozstawać się ze mną!

K A R O L I N A.

I cóż ci mam powiedzieć? Niegdyś Panie

hrabio przyszła ci myśl oddać twoją rękę i twoje dostojęstwa biednej dziewczynie!... Ona przez to nie stała się dumniejszą. Teraz podoba ci się odjąć jej to wszystko.. ona dla tego nie sądzi się być poniżoną.

H R A B I A.

Ten rozwód zdawał mi się potrzebą dla twojego szczęścia i mojego. Oddawma wi-
dujemy się zaledwie; zdawałaś się unikać mię troskliwie!... A jednakże dziś doznałem bole-
snego wrażenia, gdy mi twój ojciec przed-
stawił do podpisania akt rozwodewy.

KAROLINA (*wpatrując się w niego stale*)

Czy już podpisany?

H R A B I A (*wahając się*)

Tak... ale jeszcze brakuje twojego pod-
pisu... Możesz go odmówić... i akt ten zni-
weczysz.

KAROLINA (*z goryczą*)

Ah!

H R A B I A.

Co za zmiana! Z obojętnością przyjmujesz
wiadomość naszego rozłączenia; bez żalu, ani
jednej łzy... Co za różnica!... Kiedy poznałaś
moje przewinienie względem ciebie... kiedy
się dowiedziałaś że inna...

K A R O L I N A.

Ah tak, wówczas, poznałam nieszczęście, były to dla mnie dni łez i rozpacz, bo w ówczas utracalam wszystko, bo utracalam miłość twoją. Dziś pozbawiasz mię tylko znaczenia, majątku, cóż mię to obchodzić może? Po utracie twojego serca nie mam już nic do stracenia.

H R A B I A.

Nie przebaczysz mi nigdy, widzę to, a twoja nienawiść, gniew....

K A R O L I N A.

Gniew? nie; rozłączam się z tobą bez gniewu i przysięgam, że nienawiść nigdy przeciw tobie nie odezwie się w mojej duszy.

H R A B I A.

Ah tém boleśniej... już mię nie kochasz.

K A R O L I N A.

Jakążby wartość miała dla ciebie teraz miłość moja.

H R A B I A.

Mogłaby wszystko nagrodzić.

K A R O L I N A.

Nie; bo żadna potęga w świecie nie może wygładzić chwil okropnych które rozdarły moje serce. Jak zatrzyć w pamięci te nocy, kiedy sen uciekał z moich oczużlanych gorącemi łzami, tę rozpacz którą w nas rodz

widok pewnej, zatrutej cierpieniem przyszłości. W dwudziestym roku życia, każdy dzień, każda chwila, cierpienie uczuć nam daje, nie możemy go uniknąć, ono jest zawsze obecnem, tu, w duszy. Budząc się ze snu dręczącego już przeczuwamy to nieszczęście, które nas uciska, bo ono nieodstępnie czuwa przy każdej myśli, towarzyszy każdej naszej czynności. Ah panie hrabio, małżeństwo źle dobrane, jest największém nieszczęściem na świecie, jedyném, któremu zaradzić nie można.

H R A B I A.

Oh Karolino, nie mów tego: błędy mogą być poznane, mogą być zapomniane: można wrócić do tej z którą się niesprawiedliwie postąpiło, i znowu przy jej boku znaleźć szczęście i miłość.

K A R O L I N A.

Miłość!... miłość gaśnie zwolna w tej ciągłej walce z boleścią, lata łez zacierają wspomnienie kilku dni szczęśliwych, i z tych namiętności które miały naszym sercem, zostaje tylko znużenie, które wzywa do spoczynku samotności i odetchnienia.

H R A B I A.

Jakto! gdybym ci powiedział, że ta miłość

która mię do innej przywiązywała już wy-
gasła w mojej duszy; że teupredzenia, któ-
re kazały mi rumienić się za ciebie przed
światem, zniknęły!... że powracam do ciebie,
błagam o powrócenie mi wzajem szczęścia,
ufności... bądź moją jak dawniej... powróć
mi twoją miłość....

K A R O L I N A.

Niestety!

H R A B I A.

Cóżbyś mi odpowiedziała?

K A R O L I N A.

Że już za późno.

H R A B I A.

Co słyszę.

K A R O L I N A.

Moje urodzenie jest gminne Panie hra-
bio, ale moja dusza szlachetna. Szczęśliwa
twoją miłością, usiłowałam wznieść się aż
do ciebie, twoja pogarda zniszczyła moje
starania, twoja niestałość rozdarła serce, a
zniewagi twojej rodziny obudziły moją du-
mę!... Teraz po dwóch latach łez i cierpie-
nia, kiedy sam zerwałeś łączące nas węzły,
chcesz na nowo wrócić mi twoje śluby. Nie,
dusza moja tego nie zniesie, już między na-
mi żaden związek istnieć nie może. Dawniej
nie byłam godną twojego imienia, teraz ty,

przestałeś być godnym mojego serca. (*Hrabia rzuca się na krzesło.*)

SCENA XIV.

HRABIA, KAROLINA, BERTRAND.

KAROLINA (*idąc na przeciw Bertranda*)

Ojczy, powrócono ci twoją córkę.

B E R T R A N D.

Co słyszę!... wiesz wszystko? -

K A R O L I N A.

Tak... gdzież ten akt który hrabia podpisał....

B E R T R A N D.

Oto jest....

KAROLINA (*bierze go i podpisuje*)

HRABIA (*z rozpaczą*)

Podpisała!

K A R O L I N A.

Zegnam cię panie Hrabio!

H R A B I A.

Wszystko utraciłem i z własnej winy.

B E R T R A N D.

Wróć córko na łono ojca, wróć do skromnej cichej zagrody; oby Bóg zagładził w duszy twojej cierpienia i pamięć złe dobranego małżeństwa!

KONIEC DRAMY I TOMU DZIESIĄTEGO.

INSTYTUT
BADAŃ WYKONAWCZYCH PAN
Biblioteka
ul. ...
Tel. 25-52-31 w. 42



<http://rcin.org.pl>

F
1204
10.